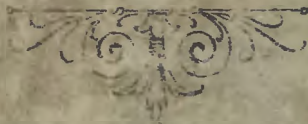


OBRAZKI

WYJĘTE Z ŻYCIA LUDU.

O DEWIDAN.



MIKOŁAJ W.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA DZIEŁ LUDOWYCH
KAROLA MIARCI.

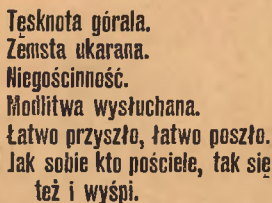
Cena 35 fen.




Antoni przy rogatce warszawskiej.

OBRAZKI

WZIĘTE Z ŻYCIA LUDU.



Tęsknota górala.
Zemsta ukarana.
Niegościnnosc.
Modlitwa wysłuchana.
Łatwo przyszło, łatwo poszło.
Jak sobie kto pościele, tak się
też i wyśpi.



MIKOŁÓW.
CZCIONKAMI KAROLA MIARKI.
1898.

109411 / 6n

1SL7e

210963

I

ob.

Ż. Śluszkiewicz
kwaśn. Sikorskiego 10

13.10.61. 50, - m





Tęsknota górala.

Wy wszyscy, którzy mieszkacie wśród równin Mazowsza, nie możecie nawet wyobrazić sobie, jakieto niebotyczne góry oddzielają od Węgier Galicyę. Te góry ogólnie Karpata mi zwane na liczne dzielą się rozgałęzienia, to ciągnąc się długiem pasmem dziwacznie pogarbionem, niby wał usypany z olbrzymich kamieni ręką Bożą, to wznosząc się szpiczastemi końcami pod obłoki, jak jakich kościołów wieże. Szczyty takie, które lud tamtejszy zwie w e r c h a m i, najczęściej są nagie, bo na podobnych wysokościach, gdzie płaty śniegu przez całe lato leżą niestopione, nic się nie rodzi; nieco niżej dopiero pokazują się mchy różne, niektóre rośliny służące za pokarm pnącym się na te wysokości kozom, oraz kosodrzewina. Świerkowe lasy zarastają gęsto całe boki gór tych wspaniałych

i otaczają ciemno-zielonym wieńcem ich kamienistą łysinę, która tylko w pogodny dzień widoczna dla oka ludzkiego, a najczęściej w chmurach się kryje. Gdy zaś brzdami potworzonemi zdawna przez śniegi i nawałnice, spadną wraz z deszczem szumiąc i hucząc potoki, i wodą poprzeryzują łąki na dolinach, to człowieka, co na to spogląda, ogarnie jakiś strach i uszanowanie i przypomni mu się wszystko, co zasłyszał kiedy w dzieciństwie o zaczarowanych pałacach wrózek, o zaklętych księżniczkach wśród puszczy skamieniałych; lecz wnet pomyśli sobie, że to bajki tylko, że w tych borach i potokach nie czart dokazuje, ale Bóg wszechmocny w rzeczach stworzonych swoją potęgę objawia, — wtedy pada na kolana, ręce do modlitwy składając, i woła tak, jak już od wieków na różny sposób i w różnych językach ludzie wołają: Bóg jest wielki!

Ale zapytacie mi się zapewne, czy w tych strasznych ciemnych borach, nad temi huczącymi potokami, co biegną z gór wysokich, można ludzi spotkać i gdzie oni mieszkają? — czem się żywią niebożęta, kiedy tu prócz poziomek i grzybów niektórych, nie widać w lesie nic więcej? Lecz oto przyparty do boku góry, na zieleniejącej niwce jest szalas z kilkunastu starych de-

sek zbity; dalej widać zagrodzone hurty dla owiec, a wyżej jeszcze kilkaset wyszłych stamtąd owiec rozpieszłych po spadzistości góry i wieszających się za lada listkiem tak łakomo i nieuważnie po skale, że zdaje się, że spadną z niej lada chwila i namiazgę się zetrą na dnie kamienistych potoków. Lecz nie bójcie się, górskie to owce, wyrosłe na tych skałach, do tych wichrów i szumów przywykłe, tak, jak oto ich pastuszek, co sobie usiadł na złomie skały, zwieszając nogi nad taką głębią, żeby po nas aż mrowie przeszło do niej zajrzeć. Chłopczyk ten mieć może najwięcej lat dwanaście; ciemne długie włosy spadają mu po dwóch stronach pięknej ściągłej twarzy, ubiór jego, jaki znamy u druciarzy, koszula nasmarowana tłustością, ponieważ ma na całe lato wystarczyć, ciemna jest i połyskliwa, lecz spięta błyszczącą mosiężną klamerką, większą od talara, z mnóstwem łańcuszków całe piersi zdobiących, co większą zamożność pokazuje. Pas na nim skórzany, nabijany mosiężnymi gwoździakami, a tak szeroki, że się łączy na piersiach z łańcuszkami klamry; z prawego ramienia spada mu ciemno brązowa kurtka z grubego sukna, którą górale gunią zowią, a której nie zrzucają wśród największego gorąca, kapelusz okrągły, podobny także do druciar-

skiego, lecz czyściejszy i ozdobiony rzędem białych muszelek, zwanych tam kostkami. Położył go przy sobie, a z tego kapelusza pęk świeżych białych wygląda goździków, które chłopiec, biorąc jedno po drugim, zręcznie układał, nucąc wesoło. Gdy już kwiaty były w należyтым porządku, pastuszek świsnął na swoje owce, żeby się zbytnio nie rozbiegały, potem przyłożywszy rękę do oczu, rozejrzał się po werchach i po niżniach (dolinach), gdzie znać było ścieżek ślady. Wnet zerwał się z miejsca wesoło, poprawił gunię na plecach i trzymając z uwagą kwiaty swoje, popędził w różnych podskokach, przeskakując strumyki, rozpadliny skał, zaczepiając nogą za tak ostre i spadziste kamienie, że każdy inny byłby się na nich poranił. Po drugiej stronie rzeczki Roztoki, co na samym spodzie doliny wartko płynęła, rozbijając się z szumem i łoskotem o brzegi kamieniste, dostrzegł bystrooki chłopiec schodzących z trudem i ostrożnością po spadzistej górze kilku panów, którzy zobaczywszy go, przystanęli zaciekawieni jego widokiem. Tymczasem chłopczyk do nich zdażał. Roztoka nawet bystra nie zatrzymała go długo, popatrzył chwilkę, gdzie największe pośrodku sterczały kamienie, tu postawił nogę, tam drugą i w trzech podskokach już był na

drugiej stronie. Panowie też zbliżali się zwolna, patrząc na niego z zajęciem.

„Chłopcze! — zawołali, — czy ciebie kozy skakać po skałach uczyły?”

Pastuszek, zaśmiaawszy się, pokazał między rumianemi ustami prześlicznej białości zęby i wyciągając rękę z goździkami, zapytał:

„A może panowie kwiatki wezmą?”

Panowie wzięli kwiatki, dali mu za nie podarek w pieniądzach, lecz żądali czegoś do jedzenia.

„Jest u nas w szalasiu świeża żętyca,” odpowiedział chłopiec.

„Co to jest żętyca?”

„Serwatka, co od sera owczego odciekła,” wytłómaczył drugi pan pierwszemu.

„A wy cóż jadacie?” zapytał starszy z panów chłopca.

„Cóżby innego — odpowiedział — żętycę.”

„Jako, rano, w południe, wieczór, nic innego tylko serwatkę, zawsze serwatkę?”

„No, a cóż my mamy innego?” spytał chłopiec i jał się śmiać, biorąc się za boki, tak mu się zdziwienie owych panów śmieszne i niepojęte wydało.

„Niechnobym ja wam przyniósł naszej żętycy — rzekł — tobyście zobaczyli.” Potem zaś dodał ciekawie:

„A skądże wy?”

„Z Krakowa.“

„Haj, haj! to daleko; ale ja wiem, gdzie Kraków, ja już o nim słyszałem.“

„Gdzie twój szalas?“ pytali panowie.

„Tam niedaleczko, za wodą, za pierwszą górką.“

„Tak, tak, jemu niedaleko — powiedział najstarszy z panów do drugich — pędził jak wiatr i nawet się nie zadyszył.“

„Jakże nie ma być lekkim od serwatki,“ zażartowali drudzy.

„Jak się nazywasz?“ zapytano chłopca.

„Staszek... a no co? chcecie żętycy?“ dodał.

„Dobrze, lecz żebyś nam dał choć chleba do tego.“

Chłopiec spojrzał bystro i ciekawie w oczy mówiącemu i zapytał po chwili:

„To co wy chlebem nazywacie?“

Panowie zdumieli.

„Chleba nawet nie znasz?“ zawołali, tłumacząc mu, co my nazywamy chlebem.

„No, no, to już wiem — i my jadamy w zimie z owsianej mąki taki placek, ale skąd go teraz mieć, jeszcze się w nizinach owies nie urodził, a tu to my go nigdy nie widzimy.“

„Wieluż was jest w szalasie?“

„Jest nas sześciu juhasów, jeden baca i czterech psów.“

„Jakto? siedmiu mężczyzn i czterech psów żyje przez pół roku samą tylko serwatką?” wykrzyknęli panowie z nowem podziwieniem.

„Kto jest baca?” spytali go.

„To jest mój ojciec.”

„Ale co to znaczy baca?”

„To jest taki, co robi sery przez całe lato i pilnuje, żeby juhasi dobrze owce paśli i doili.

„Więc ci juhasi, to parobcy, którzy mu dopomagają w robocie koło owiec?”

„No tak — a tych owiec mamy coś więcej jak trzysta.”

„Do kogóż one należą?”

„A tak różni gazdowie (to jest gospodarze) oddają swoje owce, ten 15, ten 20, inny więcej lub mniej, żeby się razem paśły pod jednym bacą. Kilka dni po oddaniu przychodzą na szalas patrzeć, jak dużo mleka dają. Są przy dójce, odmierzają mleko swoich owiec i według tego umawiają się z bacą, jak im ma dużo sera oddać, który resztę tego sera na swój zarobek sprzedaje.”

Skończywszy chłopak, spojrzał znowu panom w oczy i zapytał:

„Po co tu panowie do naszych gór przyjechali?”

„Żeby się im i tobie przypatrzyć, mój Staszku.”

„A jakże się wam tu uwidziało?” (spodobało).

„O! piękne, bardzo piękne góry wasze, zdrowa woda, jeszcze zdrowsze powietrze.”

„Co prawda, to prawda,” zawołał Staszek z dumą i radością, i poskoczywszy do tuż tryskającego ze skały źródła, nadstawił kapelusz, napił się sara z niego i chciał panom podać. Lecz panowie podziękowawszy, pytali tylko Staszka, czyby nie wiedział o jakiej chacie, do którejby ich na dni kilka na mieszkanie przyjęli.

„Wiem — zawołał Staszek — tu zaraz na polance jest jedna taka chata, gdzie mają izbę dla gości. Tam i mleka i śmietany dostanie, bo krowy mają.”

Po półgodzinnej drodze zeszli podróżni nasi na polankę, która była rzeczywiście kawałkiem zielonego pola, rzuconego wśród skał i lasów. Na niej sterczało kilka chat bez kominów, a tylko z wązkami otworami na dachu do wypuszczania dymu. Jedna z nich wyglądała nowa i porządniejsza od drugich, wyraźnie postawiona z zamiarem pomieszczenia przyjeżdżających licznie w te strony gości to dla poratowania zdrowia, to dla przypatrzenia się górcom wspaniałym. Podróżni panowie ugodzili się z właścicielami naprzód na tydzień, a potem zostali dłużej, bo im powietrze górskie i nawet żę-

tyca niezmiennie były na zdrowie. A skoro tylko szli gdzie dalej w góry, musiał przewodniczyć Staszek juhas; nagradzali go suto, a on, jak tylko mógł, to do nich zabiegał, bo się do nich przywiązał, że byli łaskawi dla niego. Tam ciekawie słuchał wszystkiego, co mu opowiadali o Warszawie i o dalszym polskim kraju.

Najstarszy z tych panów, którego pułkownikiem nazywano, choć munduru nie nosił, czytał mu kilka razy ciekawe rzeczy z książki, a Staszekowi z zajęcia oczy jak węgle się świeciły. Tak minął miesiąc i przy pożegnaniu z podróżnymi panami biedny górski pastuszek wylewał łzy obfite, bo mu tęskno było za temi, którzy mu tyle pięknych i pożytecznych rzeczy o Bogu i ludziach powiedzieli.

We dwa lata później, w miesiącu lipcu, pułkownikowi znowu lekarze dla polepszenia zdrowia w góry jechać kazali. On też znajomym traktem przez miasteczko Nowy-targ, w stronę gór, zwanych Tatrami, podążył, gdzie przypomniawszy sobie znajomego Staszka i domek czyściutki, w którym miesiąc cały przemieszkał. Domek znalazł cały i pomieszczenie w nim wygodne, a o Staszka ledwo się już mógł dopytać. Lecz dopytał się nareszcie i znalazł go nawet, ale schudzonego i posmutniałego, bez pięknej klamry

u koszuli, bez kostek na kapeluszu; wszystko, co było lepszego, sprzedało się w miasteczku na kawałek chleba. Staszek bowiem stracił ojca, matki zaś już nie miał, umarła oddawna, po ojcu nic nie zostało, ciężko więc było sierocie, który nie miał ani brata, ani siostry. Pułkownik zobaczywszy go, powiedział mu odrazu: pojedziesz ze mną? a Staszek uradowany, że go widzi, rzekł bez namysłu: pojedę, dobry panie, i będę cię pilnował jak ojca.

Po pięciu czy sześciu tygodniach pobytu w górach wyjechali do Krakowa, a Staszek choć się z kilka razy obejrzał tęskno za górami swemi, nie a nie nie płakał, tak w nim przemogła ciekawość widzenia dalszego świata, miast wielkich i ludnych, z pięknymi domami i kościołami.

W Krakowie kupił mu zaraz pułkownik sukna na nowe ubranie, a Staszek skoro oblókł miejską odzież, swoją góralską schował pod klucz, złożywszy starannie, i wtedy pierwsza ciężka łza smutku spadła mu z oczu na wyszarzaną gunię, utkaną z wełny tych owiec, które niegdyś pasał.

Opiekun zaczął go zaraz posyłać do szkoły, gdzie go wkrótce czytać i pisać nauczono. Staszek przez zimę wyrósł z nieuka na myślącego chłopaka, poznał prawdy religii świętej, pozbył się wielu zabobonów

i niemało pożytecznych rzeczy się dowiedział. Nauczyciele go chwalili, pułkownik pokochał i co dzień prawie dawał mu dowody swej życzliwości. Było to wszystko bardzo miłe dla biednego chłopca, jednak z każdym dniem czuł zwiększający się ciężar, co mu serce tłoczył jak kamień, a w oczach było mu zawsze tak łzawo, że wszystko, co go otaczało, zdawało mu się szare i brzydkie; tylko gdzieś w oddali, blaskiem słońca otoczone, migwały mu się to góry na pół skryte w chmurach, to lasy świerkowe, lub szumiące białą pianą potoki i ubożuchny szalas ojcowski.

Gdy się dowiedział na wiosnę, że pojedzie z panem na wieś, uradował się niezmiernie, bo myślał, że to tylko w mieście tak człowiekowi duszno jakby ptakowi w klatce. Pułkownik miał piękną wieś za Krakowem, lecz była ona jak zwyczajne wsie nasze. Chaty w rząd poustawiane, trocha piasku, trocha kamieni, dalej łąny urodzajne, na których się zboża kołyszą, dalej jeszcze pas lasu ciemnego, lecz to wszystko na takiej rozległej płaszczyźnie, że gdyby nie dzwonnica parafialnego kościoła, nie byłoby oczom na czem się zatrzymać. Byłyć tam jakieś wzgórza z jednej strony, ale tak nieznaczne, że Staszek nawet na nie nie patrzył, gdy zaś wzniósł

oczy w górę, to mu się płakać chciało, tak było pusto i smutno. Pływały wprawdzie po niebie złote obłoczki, ale nie zatrzymywały się na turniach kamiennych, przeleciał czasem ptak, ale nie miał gdzie się wzbić i szybować aż pod chmury, bo nie było werchów, na którychby szumiały lasy świerkowe, a chociaż było widać niedaleko stawek wcale czystej wody, to się tak przyczaił cicho między trzciniami, że go nawet i słyszeć nie było.

„O! — mawiał Staszek z westchnieniem, — nigdzie nie jest tak pięknie jak u nas.“

Minęło lato i na zimę do Krakowa wrócili. Staszek już miał lat szesnaście, pułkownik przemyślał, jakiby mu stan obrać. Obawiał się go puścić w świat nieumiejącego nic dokładnie, gdyż tacy ludzie nigdy sobie dać rady nie mogą, nie potrafią nawet na chleb zarobić i są dla drugih ciężarem. Lecz martwił się poczciwy opiekun, widząc, że Staszek chudł i mizerniał coraz bardziej, że pod oczyma jego zatoczyły się jako ślady cierpienia, ciemne kręgi.

Wtedy przywołał Staszka, pytając, co mu jest i czego smutny, czy nie chory czasem?

Staszek skłonił się do nóg jego, mówiąc o swej wdzięczności, zapewniał, że mu nic nie brakuje, że ojciec rodzony nie mógłby być lepszym dla niego.

Pułkownik już sam nie wiedział, co myśleć; rozkazał staremu kamerdynerowi pilne na chłopca dawać baczenie. Kamerdyner przyszedł po dniach kilku panu oznajmić, że lubo Staszek wszystkie obowiązki na siebie włożone pełni dokładnie, zdaje się jednak, że uczęszcza na jakieś nocne hulanki, gdyż właśnie tego rana pościel jego zastali złożoną, jakby na niej nikt nie spał, a powiadają słudzy, że to już nie pierwszy raz. Pułkownik zafrasował się niezmiernie.

„Musimy — rzekł do starego sługi — wysledzić, gdzie on chodzi; ale niech to zostanie między nami, nie trzeba mu robić wstydu, tylko porządną dać naukę.“

Następnego dnia, gdy pułkownik, który zwykle długo siedział z wieczora, zabierał się do spoczynku, wszedł do niego kamerdyner.

„Panie, rzekł, już wiem, gdzie się nasz Staszek podziewa; możeby pan sam rad zobaczyć?...“

I zaprowadził go na strych, kędy była izdebka, gdzie stare i niepotrzebne składano rupiecie. Od tej izdebki drzwi były odemknięte, a w środku widać było palącą się świecę. Pułkownik spojrzał w głąb i zdumiał cały. W pośrodku izby stał Staszek ubrany po góralsku, ze swym starym okrą-

głym kapeluszem, i śpiewając jakąś pieśń pół smętną, pół dziką, tańczył, przytupując i uderzając ręką o rękę; tańczył tak, jak tańczą swojscy jego górale. Potem wstrzymał się nagle, zalał się łzami i usiadł, obcierając oczy rękawami swej guni, a szepcząc z cicha: Mój Boże! jaki ja nieszczęśliwy!

„Nieszczęśliwy? — powtórzył pułkownik — a czemuż mi o tem nie powiedziałaś, moje dziecko?”

Staszek aż krzyknął z przerażenia, tak się nie spodziewał, żeby go tu zeszli; on bowiem już tak dawno przepędzał noce na łzach i tęsknocie, odziany w swą odzież góralską, którą chował jak relikwie.

Poznawszy pułkownika, do nóg mu się rzucił, przepraszając:

„Nie, panie, ja źle robię, ja czuję, że nie powinienem mówić o nieszczęściu, kiedyś ty taki dobry dla mnie, kiedy mi tu na niczem nie zbywa. Ale... ale... ja tu żyć nie mogę!... mnie ze snu budzą naszych potoków szумы.”

I schylił głowę, nie śmiejąc spojrzeć w oczy pułkownikowi, tak był pewny gniewu jego i oburzenia.

Lecz pułkownikowi łza w oku zabłysła i wyrzekł z rozczeniem:

„Wrócisz więc w góry, moje dziecko.”

Tu już Staszek nie wiedział, jak wyra-

zić radość swoją; śmiał się i płakał, naprzemiany, całował ze łkaniem nogi swego dobroczyńcy.

Radzono mu, żeby czekał wiosny i nie narażał się na niebezpieczne w zimie górskie drogi, gdzie można być bryłami odrywających się śniegów przywalonym i zginąć bez wieści; lecz on nie zważał na to, ufał swym górcom, że go nie zdradzą. Opatrzony w pieniądze od pułkownika, z tłómczkiem na plecach i sercem radością bijącym, ruszył w swoje strony zaraz po Nowym-Roku.

Już dziesięć lat upłynęło od tej chwili. Staszek ma swoje własne owce i lubo tak młody jeszcze, obrany został na bace, gdyż wybornie robi sery. Wszyscy więc na wyścigi oddają mu swoje owce na letnie pastwisko. Szalas jego widzieć można powyżej sławnego w owych górach jeziora, Mor skim Okiem zwanego; a szalas to jak wszystkie inne z ogniskiem otoczonem ławą, z kotłem do robienia sera, zawieszonem u pułapu, z czystemi drewnianemi od mleka naczyniami. I po cóżby go miał upiększać więcej, kiedy wokoło niego matka ziemia rozesłała tak piękne kwiatami przetykane dywany, jak nigdy piękniejszych niema nawet w kościele, a wokoło niby olbrzymy na straży stoją takie wieże ze skały, że wyższych i wspanialszych nie zobaczysz na

królewskich zamkach. Staszek zachował tylko ten zwyczaj, że się codziennie modli na książce, a modli za dobroczyńcę swego. Choć jadał mięso z pańskich stołów, chętnie i wesoło pożywa żętycę, a kiedy na zimę zejdzie wraz z trzodami w niżnie i w cieplej chacie zbierze się na gawędkę kilku gazdów (gospodarzy), to im opowiada, co widział na szerokim świecie, jak wygląda Kraków lub Warszawa, ale dodaje zarazem: że człowiek straciwszy nawet ojca i matkę, przeboleje i zgodzi się z wolą Bożą, tylko oderwany od kąta ziemi, w którym się urodził, niszczeje i usycha, jak liść bez drzewa.



Zemsta ukarana.

Nie są to tak dawne czasy, w których się wypadek ten zdarzył; toć zapytajcie ludzi starszych we wsi Woli, a powtórzą wam słowo do słowa całą historyjkę. Otóż w tej Woli, chłopci z dawien dawna nie robili żadnej pańszczyzny, bo była to i jest wieś skarbowa, przywilejami od wszelkiej robocizny uwolniona. W tej tedy wsi kilku z kmieci, powiadają ludzie, było tak bogatych, że każdy dla siebie wioskę mógłby kupić, i być sobie takim panem, jak inni panowie; ale widzicie, że oni tam siedzieli od dziada pradziada i prapradziada, a dobrze im się działo i Pan Bóg błogosławił, bo każdy z nich nie przymierzając jak kamień jaki, co to na miejscu mchem obrosnie, orał swój zagon, Pana Boga chwalił-sąsiadom przodkował, wychowując dziatwę na takich samych uczciwych i pracowitych rolników. Czasami który z chłopaków wy-

leciał do miasta i poszedł do szkoły, ba nawet i na księdza, ale to było rzadkiem w rodzie, i nie podnosił pychy familijnej, choć jak ludzie gadają, jeden został biskupem Krakowskim. Ale co nam sięgać tak dalekich czasów! Oto przed trzydziestu jeszcze laty, między tymi kmieciami był jeden nazwiskiem Kazimierz Pokrzywa; za młodu uczył się w Krakowie podobno na doktora, ale że mu się to sprzykrzyło, więc wrócił na wieś, przywdział sukmanę jak chłop prosty, z początku furmanił, wożąc towary z Warszawy do Krakowa i jak wszyscy mówią, na tem dużo grosza zarobił. Ale w tym czasie, o którym chcę wam rozpowiadać, już siedział na roli jako bogacz, jako mądrała wielki i jako wdowiec z jedną tylko córką Katarzyną, dziewczuchą gdyby kalina, a skoro który z miejskich galantów, bo i tych Kasia miała poddostatkiem, odezwał się o nią, stary odpowiedział: młoda strasznie mój kawalerze, niech czeka. Moja córka do pracy stworzona, to tak nie przymierzając jak koń, w młodym wieku będzie charował, charował na dwa lata, a potem fiu! i koniec.

A Kasia, ot zwyczajnie młoda dziewczyna, wesola jak ptaszek na wiosnę, tańcowała, bawiła się, ale o mężu wcale nie myślała. „Ja od tatusia nie odejdę, mówiła,

coby oni bezemnie poczęli, na co mi męża, kiedy tatuś lepszy jak najlepszy mąż, a co tatuś, to nie mąż.“

Z początku śmiali się z tego wszyscy, myśląc, że to są żarty, że stary Kazimierz dlatego córki nie wydaje, iż mu się kawalerowie nie podobają, albo są biedni, albo różrutnicy, albo próżniaki, bo tego nigdy nie zabraknie, ale gdy syn drugiego kmiecia Paprotni, młody dwudziestoletni Szymon przysłał swaty, a stary ni w pięć ni w dziesięć to samo, co innym powiedział, że młoda, niezwyčajna jeszcze roboty, cała wieś obruszyła się na niego, a szczególnie też ów Paprotnia stary i młody Szymek. Gadali, odgrażali, wymyślali Bóg wie nieco, a stary Kazimierz kpił sobie z nich i draapał się po głowie.

Niedługo potem, czy prawda czy nie prawda, ale rozeszła się pogłoska, jakoby Kasia polubiła bardzo młodego strażnika z lasów rządowych, że podobno widywali się w borze, że on zachodził kilka razy do chałupy Kazimierza, że Kasi przynosił jagody i ładne chustki, a staremu zwierzyny, i że kto wie, co to z tego będzie.

Rozgniewał się tedy bardzo Paprotnia, a osobliwie też Szymek, syn jego, odgrążał się straszliwie, że tego nigdy a nigdy nie daruje Pokrzywie i grymaśnicy Kasi. Strze-

lec ów, mówili, ma grube pieniądze i podobno wszystkie składa u Kazimierza.

W tym czasie również gromadzie z Woli ubrdało się coś w głowie, że kawał lasu, co do rządu należał, powinien być ich własny, bo tak gdzieś wyczytano im w nadaniach królewskich. Zwołali tedy starszych ze wsi i dalejże radzić, jakby tu ten las na siebie odebrać, do tej zaś rady należał i stary Kazimierz Pokrzywa jako człek uczony. Rozpatrzył on przedmiot, i jak słońce świeci na niebie, tak powiada, nie macie racyi, a tylko wam głupstwa pogadali, żeby was otumanić i pieniędzy nawydrwiewać. Jedni byli za nim, ale większa część spierała się i spierała, że taki las do wsi powinien należeć. I byłoby się może wszystko na niczem skończyło, gdyby nie stary Paprotnia, który z tem wystąpił:

„Kazimierz, widzicie sąsiedzi, tak gadają, żeby ino gromadzie się sprzeciwiać, i żeby ono strażnik, co się do jego córki zaleca, gospodarował owym lasem.“

„Nie plećcie też, nie plećcie, mój Paprotnia — odpowiada, śmiejąc się Kazimierz — a czy to las strażnika, czy co?“

„A choć nie jego, to zawsze on w nim gospodaruje, a jakby do wsi należał, to strażnik jużby grosiwa nie mógł zbierać, i do przyjaciół nosić, aniby kawałatka drze-

wa nie dał; widzicie tak jedno z drugim. Żeby to trafił na innego, toby go za taką mowę zamalował i basta, ale Kazimierz znał naturę i głupotę Paprotni, więc tylko odrzekł, iż strażnik jakby w tym lesie nie był, to będzie gdzieindziej, a on znowu chwala Bogu ma tyle swego, że go jeszcze stać na kupienie drzewa.

I wyszedł z gromady, nie doczekawszy się końca, gdy tymczasem wszyscy podmawiani i częstowani przez Paprotnię, zgodzili się na zrobienie składki i oddanie papierów swojemu doradcy, któryby za tym interesem pojechał do Warszawy.

Gdy na drugi czy trzeci dzień potem przyszli do Kazimierza po składkę, powiedzial, że nic nie da, do tego mieszać się nie chce; a widząc, że perswazyje jego z upornem chłopstwem nic nie poradzą, wyrzekł:

„Pamiętajcie sąsiedzi, żebyście tego nie żalowali, bo się zniszczycie, a nic nie wskóracie; wspomnicie moje słowa!“

Niedługo potem, bo jakoś na początku zimy, czy pono około Matki Najświętszej Gromnicznej, wójt gminy nakazał wielką obławę. Zima była tęga, wilków namnożyło się tyle po okolicy, że przyłaziło to bestyalstwo do wsi i nietylko gęsi, bydło niszczyło, ale i na ludzi się porywało; nie było więc innej rady, jak zebrać obławę.

Ale muszę wam też jeszcze powiedzieć, że po owej naradzie gromadzkiej, wszyscy prawie odsunęli się od starego Kazimierza, szczególnie też Paprotnia wygadywał niestworzone rzeczy. Tymczasem ów strażnik bywał coraz to częściej we wsi, czasem na święta jakie dwa albo trzy dni w chałupie Kazimierza przesiedział, a jak zazdrośne sąsiadki gadały, już o weselu myślano, bo stary Kazimierz skupywał w mieście różne drogie ubrania dla Kasi, a strażnik swój dom reperował, bielił, jakby na przyjęcie młodej żony.

Wiedział o tem wszystkiem młody Szymek Paprotnia i strasznie zesmutniał; zrobił się ponurym, zamyślonym, opryskliwym, a pił i pił gorzałczyśko, że ludzie myśleli, iż rozpił się na nic.

W przed dzień owej obławy rozochocił się jeszcze bardziej, poił znajomych parobków ze wsi i gadał, że okrutnie jest zły i nazajutrz będzie mordował wilki z całą zjadłością.

Szymek nie miał swojej fuzyi, ale pożyczł sobie od owczarza z sąsiedniej wioski, narobił kul, przysposobił naboje i choć dobrze strzelał, to jeszcze ze dwa dni wprzódy wprawiał się do celu.

O świcie kilku set ludzi, wielu panów z fuzyami i psami, cała służba leśna, wójt

gminy, urzędnicy z miasta i kto tylko chciał, ruszył do boru. Jakkolwiek zima była tęga, ale podówczas śniegu wcaleś nie dostrzegł, a las był gęsty, mieszany i twarde i miękkie drzewo, oparzelisk mnóstwo, a krzaki i zarosła prawie wszędzie.

Tych, co mieli fuzye rozstawiono po stanowiskach. Kazimierz, ojciec Kasi, choć tego dnia był czegoś nieswój, ale poszedł także z fuzą do lasu, bo lubił bardzo polowanie i strzelał doskonale. Naturalnie, że strażnik, już prawie jako zięć jego, dał mu bardzo wygodne stanowisko koło drogi, sam obok niego stanął, i nim ruszyli ludzie od brzegu, napędzając zwierza, oni palili sobie fajki, gawędząc to o tem, to owem. Kazimierzowi poszcześciło się bardzo, ubił wilczycę, trzech lisów i dwa zające; kontent był tedy, śmiał się i żartował, częstując strażnika przysmakami, które mu Kasia do torby pokładła.

„Ej! ojcie Kazimierzu, albo już pójdźmy, mówi do niego strażnik, kiedy na dworze już trochę ściemniać się poczęło.“

„Nie, nie, mój Stachu, jeszcze trochę zaczekajmy; psy gonia, muszę zabić jakiego chociażby i lisa... Widzisz i wilka teraz lepiej brać na cel, bo ślepie mu się świecą, a słyszę psy grają gdyby jaka muzyka.“

W rzeczy samej, ledwie tych słów domówił, zaszeleściło coś między krzakami; więc

strzelec czempredzej pobiegł na swoje stanowisko, a Kazimierz wyteżył wzrok w tę stronę, skąd szelest nadchodził, obejrzał skalnię u fuzyi i słuchał. Lecz wkrótce szelest ustał, jakby się coś zatrzymało. Kazimierz patrzył i czekał, myśląc sobie: zacząłeś się bratku, ale ty tu wyjedziesz zaraz, nim tam oblawa nadejdzie. Ale słuchał jeszcze z kwadrans, a dokoła cichutko tak, że zobaczył nawet iskry od krzewiska, którym strażnik wydobywał ogień dla zapalenia porcelanowej fajki.

Nareszcie znowu coś się ruszyło, ale tym razem naprawdę psy zaczęły coraz bliżej ujadać; Kazimierz już widzi coś czarnego, cwałującego koło drogi: tuż tuż naprzeciwko przed nim sady wileczysko zziajane i zmierza ku drodze. Puszczę go, myśli sobie, między drzewami nie trafię, a niechno wpadnie na drogę, to już mój.

Jakoż wypalił, ale zamiast wycia drapieżnego zwierza, rozległ się gwałtowny krzyk strażnika.

„O rany Boskie, zabity!”

Kazimierzowi włosy powstały na głowie, jak szalony rzucił się ku jego stanowisku, i wystawcie sobie jego rozpacz i okropny przestach, gdy ujrzał przyszłego swego zięcia tarzającego się we krwi własnej. W pierwszej chwili nie mogąc się opamiętać, latał

jak szalony koło niego, krzyczał w niebogłosy o ratunek, a widząc, że nieszczęśliwy już tylko jęczy przeraźliwie, rzucił się ku niemu, chcąc własnym technieniem uciekające życie wlać napowrót.

Wkrótce zbiegło się mnóstwo ludzi i strzelców, przybiegł i wójt gminy, ale wszelki ratunek okazał się już spóźnionym, albowiem strażnik trafiony w same piersi, skonał na rękach Kazimierza.

Kto stał koło niego, kto strzelał, jak to się zrobiło, zaczęli rozpytywać się dokoła, szukając winnego, a że ktoś z obecnych szepnął, że Kazimierz ze strażnikiem byli w dobrej komitywie, że podobno jeden drugiemu pieniędzy pożyczał, więc wójt gminy dalejże starego Kazimierza kazał wiązać i pod strażą do wsi odprowadzić.

Możecie sobie wystawić nieszczęśliwą Kasię, kiedy się wieczorem o całym wypadku dowiedziała; biedaczka straciła prawie zmysły i zanosząc się od płaczu, biegła tylko po wsi, krzycząc okropnie.

Natychmiast wójt gminy kazał zrobić rewizję w chałupie Kazimierza i rzeczywiście w skrzyni znaleziono dwa tysiące złotych pieniędzy w osobnym woreczku z napisem: Stanisława strażnika.

Podejrzanie więc padło na Kazimierza, a choć on się tłumaczył, że w inną stronę

strzelał, że Stach miał być jego zięciem, że on kochał go jak własne dziecko, nic nie pomogło; sąd zjechał, zaczęli prowadzić śledztwo i Kazimierza jako podejrzanego okuli w kajdany i odprowadzili do kryminału. Pochowali strażnika, a Kasia, której oczy prawie się już wypłakały, z największą niby spokojnością oddała mu ostatnie pożegnanie i wróciła do swojej chałupy sama jedna.

Upłynął od tego czasu miesiąc jeden i drugi i trzeci, upłynął rok, a Kazimierza nie wypuszczono z aresztu. Kasia gospodarowała sama jak mogła, ale powoli dobytek marniał, budynki się psuły, bydło niszczało, a o zameściu ani słyszeć nie chciała. Choćby do końca świata, to na tatusia czekać będę mówiła, i nikt prócz Szymka Paprotni, który znów zaczął chodzić koło niej, już jej więcej nie napastował.

Kiedy już rok minął od wypadku tego, a o Pokrzywie ani słyhu we wsi nie było, Kasia zdesperowana udała się do wójta gminy i oddawszy pod jego opiekę całą zagrodę już dobrze podteraną, znikła ze wsi.

Różnie różni o tem gadali: że widziano ją w Krakowie, że podobno złożyła grube pieniądze w jakimś klasztorze i tam ją do usługi jednej zakonnicy przyjęto; ale to były tylko gadaniny, ot zwyczajnie jak we wsi.

Tymczasem w sądach badanie się ciągnęło powoli, stary Pokrzywa siedział w więzieniu, oczekując zmiłowania Bożego i nie tyle się trapił swoim położeniem, ile śmiercią poczciwego strażnika i losem córki, o której żadnej wieści nie mógł dostać. Podejrzenie było nań wielkie, zwłaszcza że świadkowie podmówieni przez zagniewanych ojca i syna Paprotniów, dużo nagadali o nim złego, a mianowicie co do jego bogactwa, bo jak mówili, w tak ciężkich latach nie mógł dobrym sposobem i uczciwie tyle pieniędzy nagromadzić. Biedny więzień modlił się tylko po całych nocach, a ufny w swoją niewinność, zawsze odpowiadał, że nie on zastrzelił.

Nareszcie zapadł wyrok, skazujący go na kilka lat więzienia. Ale sąd wyższy uznał potrzebę dodatkowego śledztwa, które gdy wykazało, że kula w ciele zabitego strażnika znaleziona, była większą od lufy fuzji obwinionego Pokrzywy, niewinność jego wyrzeczoną została i on na wolność puszczony.

Jako ptaszę po kilku latach więzienia w klatce wybiegnie wesołe, szczebiocząc, na ten świat Boży, tak też i stary Pokrzywa nie pytając, że to dzień był słotny, że on osłabiony i zgłodniały, odrazu puścił się w drogę, aby tylko jak najprędzej zobaczyć ukochaną Kasię i otrzeć jej łzy boleści. Ale

biedaczysko nie obrachował się z nogami i siłami; uszedłszy milę, zupełnie ustał i musiał prosić przejeżdżających, żeby go do jakiej wsi podwieźli. Nie mając ani grosza pieniędzy, Pokrzywa kiedyś zamożny kmieć, teraz musiał ode wsi do wsi wlec się o żebranym chlebie i ledwo piętego czy szóstego dnia dostał się do wsi rodzinnej.

Mój ty Boże, jakże mu też serce niepokojnie biło, kiedy wieczorem ujrzał z daleka swój domek stojący na wzgórzu, a w oknach jasne światło. Przyspieszył kroku o ile mógł i cichaczem podszedł ku wrotom.

Lecz jakże się zdziwił, zastawszy całe podwórko wypełnione furmankami, a z domu wylatujące krzyki śmiechu i radości, i skoczną muzykę tańce i wiwaty.

„Mój gospodarzu — zapytał furmana — co tu się dzieje?”

„A cóż wy to nie tutejsi czy co, że nie wiecie? Toć to wesele.”

„A czyje? — spyta — ledwie stojąc na nogach Kazimierz.”

„Szymka Paprotni, syna jednego kmiecia naszego, co się żeni z córką ekonomiczną z tamtej wsi.”

„I to jego chałupa? — pyta, ochłonawszy trochę Pokrzywa — bo myślał z początku, że jego Kasia idzie za niego.”

„Ha! jużci podobno i jego; byłać to ona kogo innego, ale tamten zabił strażnika na obławie, poszedł do kryminału.“

„A córka jego, gdzie córka?“ krzyknął, zapomniawszy się stary Kazimierz.“

„Ej, mnie się zdaje, że wyście go znali,“ odrzekł parobek, przypatrując się bliżej nieznanomemu.

„Ale córka jego?“

„Kaduk ją ta wie, gdzie uciekła ze wsi już pono rok temu, wójt chałupę za podatki sprzedali, a Szymek ją kupił i basta.“

Nie pytał już więcej stary Pokrzywa, tylko westchnął głęboko i zapłakawszy, odszedł. Przez całą noc włóczył się biedaczysko po wsi i bał się wejść do jakiej chałupy, żeby go nie poznali; więc zmartwiony zaszedł na wiejski cmentarz, pomodlił się na grobie swych rodziców i żony, a dowiedziawszy się w sąsiedniej wsi, że to wszystko prawda, co mu parobek rozповідаł, przeżegnał się i poszedł w świat, gdzie go oczy poniosą.

Tymczasem we wsi zapomniano już, że żył jakiś Pokrzywa, że miał kmiecią rolę i córkę, tylko stare kobiety przy kądzieli rozповідаły sobie i dzieciom o owym wypadku na obławie, o zabiciu strzelca Stanisława i t. p. szczegółach, dodając swoje i po swojemu, że Szymkowi jakoś nie wie-

dzie się na gospodarstwie cudzem, bo podobno kupił po nim z krzywdą chałupę i jakoś za liche pieniądze wziął duży majątek. Marniało też na prawdę to jego gospodarstwo; nieurodzaj, pomór bydła, grad i inne klęski gospodarskie szły rok za rokiem kolejną, a przytem choroba jego żony w kilka lat dopełniły zniszczenia. Stary jego ojciec również zmarniał i wyszedł na komornika, a tak, mówili ludzie, cudza krzywda na dobre im nie wyszła.

Było to na wiosnę, lecz dziesięć lat potem, akurat w sam dzień nieszczęśliwej śmierci strażnika Stanisława. Teraz zamiast śniegu już słońko cieplej ogrzewało ziemię, jaki taki brał za pług i dalej na pole, skowronki pokazywały się na roli, a i ludziom po ciężkiej zimie weselej było na sercu.

Na tem miejscu, gdzie zabity został strażnik niespodziewanie zeszło się dwoje ludzi: mężczyzna trochę z chłopska, trochę z wiejska ubrany, mógł mieć około lat 70 wieku, bielutki jak gołąb, ale rzeźwy, rumiany jeszcze, kobieta zaś choć młoda, bo może trzydzieści lat miała, ale blada, zmięrowana, z dzieckiem na ręku, ani spostrzegła, że ów staruszek bardzo jej się z krzaka przyglądał.

„Kasiu, Kasiu! zawołał naraz staruszek z ukrycia.“

„O Matko Najświętsza, a to kto? krzyknie, zrywając się z miejsca cała przestraszona, i porwawszy dziecko, zaczęła uciekać.“

„Kasiu! krzyknie wtedy zastępując jej drogę staruszek, córko moja, nie poznajesz ojca?“

W rzeczy samej byli to Pokrzywa stary i córka jego Kasia, którzy szczególniejszem zrządzeniem Bożem tego dnia wybrali się na miejsce zabójstwa strażnika. Dopieroż było między nimi uciechy i łez i płaczu i ściskań i całowań! Pokrzywa opowiedział jej swoje wypadki, jak go uwolnili z kryminału, jak dostał potem miejsce ekonoma, jak się dorobił grosza znowu i przybył do swojej wsi zakończyć żywot na swoich śmieciach. Ona mówiła znowu, że uciekwszy ze wsi, w której bez ojca żyć nie mogła, poszła do klasztoru do Krakowa, i stamtąd zakonnica wydała ją za męża za stelmacha, jak prędko dorobili się majątku, jak Pan Bóg dał im dwoje dzieci, ale przed trzema miesiącami odebrał jej męża, który umarł i ją sierotą zostawił.

Kiedy się tedy nagadali i nacieszyli z sobą, pojechali do wsi.

Naturalnie, że nikt ich nie poznał. Pierwszem uczuciem starego Pokrzywy była chęć odkupienia napowrót swej zagrody, a gdy się dowiedział w karczmie, że Szy-

mek Paprotnia jest chory, że cały dobytek zmarniał, że dzieci i żona wymarły, a ojciec, ten niegdyś kmieć bogaty, przypasawszy torbę i wzięwszy kij w rękę, wyszedł na żebraka, lzy zakręciły się w oczach Kazimierzowi, i niewiele myśląc, ruszył do jego chałupy.

Jak przed kilkunastu laty, tak i teraz na podworku opustoszałej chałupy zastał mnóstwo ludzi, tylko niewesołych, ale zasmuconych. Właśnie przyjechał ksiądz proboszcz z Olejem świętym do chorego Szymka. Przed kilku dniami rąbiącego drwa w lesie przywalila sosna, i od tej chwili w okropnych męczarniach konał Szymek Paprotnia.

Skończyła się spowiedź święta, ksiądz proboszcz cały wzruszony wychodził z izby, gdy w progu spotkał się z Kazimierzem; stary proboszcz miał dobrą pamięć, poznał Pokrzywę i rzekł:

„Idźcie Kazimierzu do niego, idźcie, on was najbardziej potrzebuje.“

Zdziwiony tem Pokrzywa wszedł do izby, gdzie leżał konający. Mój ty Boże, jakaż tam była nędza! kilka pęków słomy rozrzuconych w kącie, stara sukmana, którą przykryto chorego, konewka z wodą, otóż wszystko, co stanowiło majątek owego Szymka, syna najbogatszego kmiecia we wsi.

Za Kazimierzem weszło kilka ciekawych osób — „Szymonie, zapytał Pokrzywa, czy poznajesz mnie?”

Na ten głos zatrząsł się chory i obróciwszy z trudnością głowę, spojrzał na mówiącego. A jak się popatrzył, tak łzy mu stanęły w oczach, i nie mówiąc ani słowa wyciągnął rękę ku niemu.

Wtem z drugiego kąta izby pokazuje się staruszek wynędzniały, łachmanami okryty; było ojciec Szymka, stary Paprotnia.

„Wszelki duch Pana Boga chwali, toć wy Kazimierz Pokrzywa,” rzeknie, przypatrując się pilnie przybyłemu.

„Tak, ja jestem.”

„Boże wszechmogący, — wyjęknął chory Szymek — wielkie są Twoje wyroki. Kazimierzu! — zawołał głośnie, unosząc się z wolna na posłaniu, Kazimierzu — daruj mi, przebacz, ja zabiłem strażnika!”

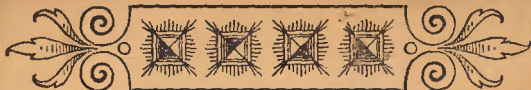
Słowa te jakby piorunem raziły wszystkich obecnych.

„Moje życie niedługie — rzekł znów Szymek — pogodziłem się z Panem Bogiem, On mi przebaczy, jeżeli wy mi przebaczycie, Kazimierzu.”

„Przebaczam, — przebaczam! zawołał rozrzucony Kazimierz, chwytając go za rękę — niech ci Bóg nie pamięta mej krzywdy, jak ja ją zapominam.”

Szymek tylko westchnął, oczy mu się zamglily śmiertelną bladością, upadł na posłanie i skonał.

Kazimierz oddał mu z należytą przyzwitością ostatnią przysługę, sprawił mu pogrzeb, a gdy już wszystko skończono, kupił od wierzycieli nieboszczyka Szymka dawną swoją chałupę, wziął na łaskawy chleb starego Paprotnię ojca Szymona, sprowadził córkę z Krakowa, i dotąd żyje tam jeszcze poważany od wszystkich jako ojciec patryarcha wioskowy. Synek Kasi już dzisiaj dorosły chłopak, wyręcza dziadka w polu i oborze, a Paprotnia prawie dzień w dzień chodzi na cmentarz i modli się na grobie syna i na grobie nieszczęśliwego Stanisława strażnika, który zginął marnie tylko przez zazdrość Szymka, a które to groby leżały obok siebie, bo tak chciał Szymek, jakby na pokazanie, że śmierć wszystkich połączy, i zbójcę i zabitego, i na jeden sąd powoła.



Niegościnnność.

O czwartej z południa młoda kobieta z dzieckiem na ręku zapukała do drzwi wiejskiej chaty. Grzało czerwcowe słońce, kryjąc się za topole i sosny; kobieta zmęczona czekała u drzwi, aż te skrzypnęły, skobel opadł nisko i stanęła w nich niewiasta z posiwiałem włosem.

„A to ty, Jędrzejowa?”

„Tak, ja, Katarzyno. Muszę iść do plebanii o staję drogi, w upał dziecka brać nie mogę, przepaliłoby głowę, w chałupie niema nikogo; zostawię je u was na godzinę, rzekła młoda wieśniaczka, wchodząc we drzwi na lewo, prowadzące do dużej izby, pełnej szaf sosnowych i częstochowskich obrazów.”

„Dobrze Jędrzejowo! jesteście próżna kołyska po mojej Ance, którą państwo wzięli do dworu, włóżcie dziecko w kołyskę.”

„Właśnie zasnął malutki, szepnęła wieśniaczka, ścieląc poduszkę synowi, ale ten

zbudzony ruchem matki, rozkrzyczał się na całe gardło.“

„Cyt, cyt,“ wołała Katarzyna, oglądając się z trwogą na uchylony alkierz, z którego właśnie wybiegł wieśniak rozespany, krzycząc na żonę:

„Co, znowu mi dzieciaki sprowadzasz na głowę? Ja kontent, żem swoje oddał do dworu; przez tydzień, dzięki Bogu ugoiły mi się uszy, a ty na nowo muzykę rozpoczynasz. Weźcie, Jędrzejowa, wasze dziecko, zbudziliście mnie niepotrzebnie jego krzykiem; człowiek nawet u siebie przespać się nie może.“

Młoda wieśniaczka wyjęła chłopca z kołyski, a spoglądając z wyrzutem na nieludzkiego gospodarza, zdążała ku drzwiom.

„Przebaczcie mu, sąsiadko — szepnęła żona — on się trochę napił, jak się prześpi, będzie żałował, lecz teraz niema z nim rady; wstąpicie może do Jakóbowej.“

„Do Jakóbowej? — przerwała kobieta — gdziebym ja tamniosła dziecko tak daleko na upał; wszystkie chałupy o staję drogi, wasza jedna najbliższa — musi zostać w domu.“

I poszła, kołysząc syna na rękę i zachęcając go do zaśnięcia.

We trzy godziny, kiedy ziemia ochłodziła, słońce zachodziło i na plebanii dzwonili na

Anioł-Pański, Katarzyna, wróciwszy z roboty w ogrodzie, otworzyła drzwi swej chaty narozcież i siadła u progu, by odetchnąć świeżem powietrzem. Mąż jej Wojciech dobrze już wyspany, wyszedł także przed sień i usiadł na ławie, ale coś nieswój, nie kontent. Czy mu dzienna pijatyka niepokoiła serce, czy może niegościnność, co małe dziecko oddepchnęła od drzwi chaty? Bądź jak bądź, wsparty na rękę patrzył ponuro w zwierciadło spokojnej, jednostajnie przelewającej się wody blizkiego jeziora, odbijającej promienie zachodzącego słońca. Wreszcie wstał z ławy, wrócił do izby; żona niespokojnie za nim patrzyła, a usłyszawszy krzyk nagły, bolesny, wbiegła do chaty, sądząc, że on stamtąd pochodził.

Krzyk jednak był zewnątrz ich chaty, bo wybiegł z sąsiedniego domu, jak piorun wpadł do izby Wojciecha wraz z kobietą, trzymającą w rękę opalone ciało nieżywego dziecka.

Kobieta złożyła ciało na stole i padła z załamanemi rękoma jęcząc:

„Nie przyjęliście chłopczyny, zbudziwszy się, poszedł do ognia i stał się jego pastwą.“

Słowa te jak grom uderzyły sąsiadów; jęki i rozpacz matki sprowadziły włościan, robotników, księdza i właściciela wioski.

Zrozumiano rzecz całą; rozpacz jednych,

smutne i pochylone czoła drugich zdawały się być chwilą nawiedzenia anioła-stróża dzieciątek, który wcielony w poważną i szlachetną postać kapłana, stanął wśród gromady upomnieć się za niemi.

„Dosyć waszego niedbalstwa, zawołał, dosyć już małych dzieci przez niebaczną i niepamięć wtrąciliście do grobu; dusze ich są u Boga, ale spalone kości z czarnej ziemi upominać się będą sądu na was. Przestrzegano was, mówiono: nie porzucajcie niemowlęcia w chacie; dziecię jest świętszym skarbem niż robota i kłosa na polu. Przed pójściem po kłosa umieśćcie je bezpiecznie, zagaście ogień, zostawcie kogo w izbie, proście sąsiadki o opiekę; a jeśli nieludzkość, — dodał kapłan, spoglądając na zmarłego starca, — od drzwi je odpędzi, odłóżcie wasze sprawy do lepszej pory.

Wojciech padł z płaczem na kolana, pleban mówił dalej:

„Tyle smutnych przykładów małą wam widać było nauką, i oto Bóg zesłał nowy.“

Pleban widząc klęczących dwóch głównych sprawców tego nieszczęśliwego wypadku, kończył uroczyscie:

„A kiedy w tym przykładzie jedno serce cierpi zgryzotę, drugie boleść, niech ogół z niego odniesie trwałą korzyść. Przysięgnijcie wszyscy, jak tu jesteście, że żaden

z was pod żadnym pozorem nie zamknie samego dziecka w domu, nie zapewniwszy mu opieki i nie usunąwszy pierwej wszystko, co by mogło zagrażać jego życiu.“

„Przyrzekamy,“ odrzekli chórem mężowie i niewiasty, podnosząc schylone głowy i oddychając spokojniej, jakby już każdy z tego wypadku wziął część swoją, jakby to przyrzeczenie było oczekiwanem rozwiązaniem smutnego zdarzenia.

Pleban przyszedł do Jędrzejowej i położył rękę na jej ramieniu.

„Matko!“ rzekł, „twoje dziecko już u Ojca w niebiesiech, a jego śmierć przeraziwszy serca tych ludzi, ocali od męczeńskiej śmierci wiele niemowląt... Przyjmij krzyż ten z podaniem się woli Bożej, odmów modlitwę i wróć spokojnie do domu.“

A zwracając się do Wojciecha, dodał:

„Starcze! ostatnie dnię twoję spędzasz na pijatyce, która cię wiodła do nierozumnych czynów. Wypadek ten niech poruszy serce twoje do żalu i poprawy. Każda śmierć człowieka jak błyskawica otwiera niebo i pokazuje Boga. Spójrz ku Niemu przez śmierć tego dziecka i przybliź się ze skruczą.“

A teraz wszyscy pomódlcie się za duszę niemowlęcia, dodał, zwracając się do gromady.

Katarzyna wyniosła z alkierza święconą wodę i dwie zapalone lampki postawiła na ziemi, poświęconą gromnicę podano matce.

Klękali na ziemi wokoło dzieciny, złożonej na stole, której kapłan włożył w rączkę obrazek Matki Najświętszej.

I zabrzmiała w izbie Wojciecha modlitwa za umarłych, a o ściany jej odbił się śpiew:
„Święty, święty, święty!“



Modlitwa wysłuchana.

Przed trzydziestu kilku laty, przy końcu maja, w czasie ciepłego wieczoru siedział na ganku przed dworem hrabia Wacław wraz z młodą małżonką i dwiema pięcioletnimi córeczkami, bliźniętami anielskiej piękności, ciesząc się ich słodkim widokiem. Mały jego synek spoczywał uspiiony w kołysce, a troskliwa matka co kilka chwil zapytywała niańki, czy śpi dziecina, czy mu nie duszno, i upominała, aby ją pilnowano i dano jej znać, gdy się przebudzi. Przed domkiem drewnianym, ale schludnym i czystym, zewnątrz obielonym, który stał przy ogrodzie pańskim niedaleko dworu, siedział Maciej, ogrodnik, z żoną swoją Gertrudą; odpoczywając po pracy dziennej, i ciesząc się widokiem najmłodszego dziecka, swego ulubionego Jasia, który mu jedynie w domu pozostał, gdyż starsze dzieci poszły w świat szukać chleba.

„Moja kochana — rzekł Maciej do swej żony po chwili namysłu i zadumy, w jaką go cuda Boskie wprawiły — co my tu z tym chłopczyną naszym zrobimy?... Do książki ma wielką ochotę, dobrze już czyta, nieźle pisze, a nawet ministranturę już umie i zawsze powtarza, że będzie księdzem. Dobracby to rzecz była, ale cóż z tego, kiedy nas nie stać na szkoły, a leśniczy, który go dotąd uczył, już ze służby odchodzi.“

„Ej, co tam gadasz, mój kochany — odrzekła Gertruda — niema się o co turbować. Bóg jest dobry i opatrny, On nam pomoże; wreszcie choćby nam przyszło i gębie ująć i wszystką chudobę sprzedać i w jednej koszuli pozostać, to ja tego chłopca nie opuszczę, bo mam w Bogu nadzieję, że on dla nas będzie pociechą i pomocą na nasze stare lata. Starszym dzieciom nie mogliśmy dać nauki, niechże przynajmniej jeden nauczy się czegoś.“

Gdy tak Maciejowie rozmawiali z sobą, dał się słyszeć prześliczny śpiew dziecięcy, którego tony rozchodząc się po wieczornej rosie, tworzyły miłą harmonię dla ucha. Był to głos Jasia, który wlaższy na pobliską wierzbę, zaczął nucić pieśń do Najświętszej Panny, w słowach:

„Gwiazdo morza, któraś Pana mlekiem swoim karmiła.“

Usłyszawszy śpiew ten, hrabia siedzący na ganku, zapytał się:

Czyje to dziecko tak prześlicznie śpiewa, a gdy mu powiedziano, że to Jaś, syn ogrodnika, rzekł do swej żony z pewnym wyrazem uczucia:

„Miły ma głos ten chłopczyna, wartoby pomyśleć o jego dalszym losie, zwłaszcza, że i rodzice jego są ludzie poczciwi.“

„Słusznie — odrzekła hrabina — i od owego to szczęśliwego wieczora nie przestawał Jasio zwracać na siebie baczniejszej uwagi pana hrabiego i jego dobrej małżonki.“

Nazajutrz, gdy pan hrabia szedł do ogrodu, spotkał przed domem Maciejową i zapytał się jej, czy słyszała wczoraj wieczorem pobożny śpiew Jasia, a gdy ta z uszanowaniem odpowiedziała, że słyszała, rzekł pan hrabia do niej: on będzie księdzem, bo ma głos miły i dźwięczny, ja wam do tego dopomogę, bo lubię tego chłopca; oddajcie go tylko do szkółki w sąsiednim miasteczku, niech się tylko dobrze uczy. Na te słowa zadrżało serce poczciwej matki, lzy radości wytrysły jej z oczu; ucałowała ręce dobrego pana, dziękując mu za radę i obietnicę, a po jego odejściu, uklękawszy z pokorą, wzniosła gorące modły ku niebu, prosząc Boga, aby jej pozwolił doczekać tego szczęścia, iżby ujrzała syna swego kapłanem.

W kilka dni po tej rozmowie z hrabią udała się Maciejowa do poblizkiego miasteczka, przedstawiła syna swego nauczycielowi i Jasio został policzony w liczbę uczniów szkoły elementarnej. Chodząc przez lat cztery do szkółki, uczył się bardzo dobrze, był moralny, pilny i pracowity. Po niejakiem czasie, gdy się pan hrabia dowiedział, że Jaś uczy się dobrze, wezwał go na egzamin, a gdy się przekonał, że i ładnie pisze i płynnie czyta i rachunki pojmuje i gramatykę rozumie, rozkazał mu, aby co wieczór, gdy ze szkółki powroci, przychodził do dworu i uczył czytać i pisać córeczki pańskie, kilkoletnie panienki, które jako bliźniaczki, podobne były do siebie jak dwie krople wody. Pozwolił mu nadto bawić się z synkiem, który o trzy lata był młodszy od siostr swoich, a za to miał Jaś wyznaczone trzy trojaczki dziennie za naukę, które mu regularnie każdego dnia pani hrabina płaciła.

Dzieci pańskie widując Jasia codziennie, pokochały go serdecznie, przywiązały się tak szczerze do niego, że bez niego tęskniły. Umiał też Jasio z niemi postępować; w zabawkach dziennych miał on niewyczerpane pomysły.

Ale dla rodziców swoich był dobry i posłuszny, nie marnotrawił czasu na próżno

Często czytywał rodzicom swoim różne książeczki, które ze dworu przynosił jakoto: Pielgrzyma w Dobromilu, bajki Krasickiego, naukę moralną, katechizm Fleurego, a gdy mu się czytać sprzykrzyło, stroił sobie ołtarzyki, ozdabiał obrazkami i śpiewał pobożne pieśni.

Poznali niedługo Jasia wszyscy z dobrej strony i ksiądz proboszcz i nauczyciel miejski i ludzie ze wsi i pokochali go szczerze, bo i on dla wszystkich miał szacunek. Ale nadchodził już czas, gdzie wypadało pomyśleć o dalszej nauce, bo dochodził do wieku lat trzynastu, a jeszcze do szkół wyższych nie poszedł.

Niepokoilo to pocziwą jego matkę, która ciągle o losie jego myślała; aliści pewnego razu nad wszelkie spodziewanie zzywa pan hrabia Macieja i objawia mu swoją wolę w tych słowach: że ponieważ wyjeżdża do stolicy na lat kilka dla edukacyi swoich dzieci, postanowił z sobą zabrać i Jasia i tam go do szkół publicznych posyłać. Przyjęli z radością tę nowinę pocziwi Maciejowie, popłakali się oboje nad chłopcem i pobłogosławiwszy go, puścili w drogę. Przybył Jaś do Warszawy, uczył się rok jeden z pańskimi dziećmi, prywatnie pobierając nauki, a w drugim roku został zapisany do szkół publicznych do klasy drugiej,

z końcem szkolnego roku dostał promocyę z pochwałą do trzeciej i nadzwyczaj się ucieszył, gdy przeczytał swoje imię i nazwisko wydrukowane w Monitorze Warszawskim. Lecz serce matki, chociaż czuło, że dziecku dobrze, nie mogło jednakże znieść tego oddalenia; tęskniła Maciejowa za synem, często łzy wylewała, że Jasia swego nie widzi, i gdy państwo przyjechali z Warszawy, prosiła, aby Jasio mógł być przeniesiony do szkół ówczesnych wojewódzkich Księży Pijarów do miasta, które o milę tylko od wsi hrabiego odległe było. Stało się jej życzeniem zadosyć; dobry hrabia i tu jej dopomógł, zaprosił do siebie księdza rektora i prefekta szkoły, zawezwał Jasia do egzaminu, zaprezentował go Pijarom, którzy po przesłuchaniu uznali go zdatnym do klasy trzeciej i od roku szkolnego znów Jaś był policzony do liczby uczniów szkoły wojewódzkiej jako trzecio-klasista. Tu już serce dobrej matki było zupełnie uszczęśliwione, bo mogła go częściej widywać, gdyż Jasio prawie co tydzień opowiedziawszy się księdzu prefektowi, robił piesze wycieczki do swych rodziców co niedziele i święto i znów raniutko w poniedziałek do szkoły powracał. Skromny, pobożny, pilny, zyskał dobrą opinię rektora i profesorów, zyskał miłość współ-kolegów, a choć był ubogi,

kochali go i panicze bogaci, bo umiał na ich miłość zasłużyć.

Nareszcie nastąpiła zmiana rzeczy, która o mało nie zniszczyła nadziei rodziców Jasia; powstała w kraju wojna, uczniów rozpuszczono, szkoły zamknięto i Jasio po ukończeniu pięciu klas zmuszony był opuścić szkoły i przerwać dalsze nauki. Lecz przywyknawszy do pracy, żeby nie był ciężarem rodzicom, żeby nie zapomniał czego się nauczył, poświęcił się nauce dzieci urzędników w mieście i w tym zawodzie półtora roku przetrwał. Nie wiedział Jasio co dalej z sobą począć, gdyż po wojnie wszelkie zakłady naukowe były jeszcze nieurządzone, a on chciał ukończyć szkoły i uniwersytet warszawski; lecz oko dobroczyńcy czuwało nad nim troskliwie. Przybywa do miasta hrabia, daje mu list do rządcy dyecezyi i radzi, aby się udał do stolicy biskupiej dla złożenia egzaminu z nauk. Posłuszny Jasio radom swego opiekuna, idąc również za własnem natchnieniem i życzeniem swoich rodziców, wstąpił do seminaryum, a po czterech latach nauki i próby wyświęcony został na kapłana. Po przybyciu do rodziców, pierwszym jego obowiązkiem było złożyć szczerę podziękę państwu, zameldować się swemu proboszczowi i prosić o pozwolenie ołtarza

dla odprawienia pierwszej Mszy św. zwanej prymicyami. Nadszedł ów dzień, tak dla niego wielki i święty, tak dla rodziców jego pożądanym, tak dla hrabiostwa miłym i radosnym. Ksiądz Jan, (którego odtąd tak nazywać będziemy) otoczony licznym grotem kapłanów, pomiędzy którymi był i jego szanowny rektor Pijarów, wobec rodziców i mnóstwa wiernego ludu stanął przed tym ołtarzem, przed którym jego rodzice zawierali niegdyś śluby małżeńskie, przed którym on jako niemowlę chrzest św. przyjmował, przed którym do Mszy św. jako młodzieniaszek służywał, i z gorącą modlitwą w duszy odprawił bezkrwawą ofiarę. Co się tam działo w sercu pocziwej matki, w sercu dobrego ojca, kiedy przystąpili do odebrania błogosławieństwa kapłańskiego, przez włożenie rąk na ich głowy, kiedy odebrali pocałunek pokoju synowsko-kapłański, trudno opisać.

Po odbytych prymicyach ks. Jan z woli władzy duchownej został wikaryuszem u swego proboszcza, przeniósł się z nim nawet do innej parafii, wzięwszy z sobą rodziców, następnie przeznaczono go na wikaryusza do miasta gubernialnego, gdzie zostawał przez lat trzy, ogłaszając wiernym naukę zbawienia z całą gorliwością kapłana.

W owem miasteczku, gdzie ks. Jan po-

bierał początkowe nauki, zawakowało probostwo; pan hrabia i tu mu jeszcze dopomógł. Żyjąc w sąsiedztwie z dziedzicem tego miasteczka, prosił go o udzielenie prezenty ks. Janowi, a gdy ją otrzymał, i nastąpiła instalacya, czyli osiedliny, ks. Jan miał szczęście mieć u siebie w domu swego dobroczyńcę.

Nie rozwodząc się dłużej nad opisem niniejszego zdarzenia, to tylko powiemy, że ks. Jan przebywszy lat 20 w owej parafii, zyskał szacunek powszechny. Życie jego skierowane jest jedynie ku temu, aby Bogu wiernie służył i aby lud wierny jego opiece powierzony drogą cnoty prowadził. Jest on szczęśliwy, można powiedzieć, bo widocznie błogosławieństwo rodziców na nim spoczywa.

Żył długi czas z rodzicami swymi, kochał ich szczerze, nie żałował im kawałka chleba, a gdy go opuścili po długiem życiu, oblawszy ich grób łzami, nie przestaje wznosić modłów za nich i za swoich dobroczyńców, z których łaski i opieki naukę, szczęście i kawałek chleba odebrał. Hrabiosstwo również są szczęśliwi, bo im Bóg daje błogosławieństwo swoje; wychowali dziatki uczciwie, powydawali córki za godnych obywateli, doczekali się wnuków. Syn ich podobnież chlubne zajmuje miejsce w obywa-

telstwie, ks. Jan odwiedza czasem swoich dobroczyńców, a niedawno nawet będąc u nich, zastał tam przybyłe ich córki i syna, i zasiadłszy pomiędzy nimi jak w kole rodzinnem, czytał im swe prace umysłowe, a ta okoliczność przypomniała mu owe słodkie chwile młodości, w których taż sama rodzina słuchała, jak mały Jasio, a dziś ks. Jan, powtarzał z pamięci wierszyki z Pielgrzyma z Dobromila.

Trzydzieści i kilka lat upłynęło od tego wieczoru pamiętnego, któryśmy powyżej opisali, a nic się nie zmieniło w tej zacnej rodzinie; ta tylko zmiana rzeczy nastąpiła, że gdzie był scbludny domek Macieja, w którym się Jasio rodził i gdzie Maciejowa gorące modły do Boga wznosiła, tam dziś jest piękny trawnik włączony do owocowego ogrodu, a w środku trawnika stoi młody klon, który ks. Jan odwiedzając niedawno ze łzami w oczach pobłogosławił ręką kapłańską, aby przetrwał burze i wichry i był wiecznym pomnikiem owego miejsca, na którem Bóg wysłuchiwał pieśni i spełnił życzenia cnotliwej matki jego.



Łatwo przyszło, łatwo poszło.

(Prawdziwe zdarzenie).

I.

Niedosyc jest mieć pieniądze, kochani czytelnicy, ażeby niemi, jak wielu z was mniema, zapewnić sobie byt wygodny, stały i spokojny, trzeba jeszcze umieć użyć ich stosownie, co podobno równie jest trudnem, jak samo ich nabycie pracą i skrzętnością. Przysłowie, które się często obija o nasze uszy: „Przybądź szczęście, rozum będzie,“ nie zawsze da się zastosować, a wierzcie mi, że nie tak jak szczęście nie zaślepia ludzi. Na dowód tego przytoczymy wam zdarzenie, które w Warszawie niezbyt dawno się zdarzyło, a o prawdziwości, którego wielu naczynych świadków mogłoby zaświadczyć.

U pana Wiślańskiego służył za lokaja bardzo uczciwy i wierny człowiek, imieniem Jan. Potrafił on przez przeciąg długiej i nieposzlakowanej służby swojej pozyskać względy, szacunek, a nawet przywiązanie swojego pana, który sownie wynagradzał wiernego,

dobrego sługę. Żona Jana trudniła się u państwa Wiślańskich kuchnią i gospodarstwem, a pan przywykły do jej usług, równie jak jej męża, nigdzie z takim apetytem, jak u siebie nie jadał obiadu, nigdzie nie spotkał większego porządku, jak u siebie w domu, nigdzie nie widział lepiej wypranej bielizny nad tę, która wyszła z pod ręki Janowej.

Dlatego pan Wiślański bardzo się zadziwił, gdy dnia jednego podczas śniadania, przyszedł do niego Jan wraz z swoją żoną prosić go o uwolnienie od służby.

„A cóż to wam za krzywda u mnie! — zapytał, — wszak płacę regularnie, a znając waszą poczciwość, nie sądzę, abyście zmiarkowawszy me długoletnie do was przywyknienie, pragnęli złych sług zwyczajem, korzystać z mojej słabości, i strasząc mnie swem odejściem, większą, niż pobieracie dotąd, chcieli wymódl płacę?”

„Broń nas Chryste od tak podłej myśli — rzekł Jan — kłaniając się nisko, i daj Boże wszystkim sługom tak dobremu służyć Panu.”

„Dlaczegoż więc chcecie mnie opuścić?”

„Wygrałam sto tysięcy złotych na loterii,” odpowiedziała Janowa szczęśliwa, że mogła nareszcie wypowiedzieć tajemnicę, którą od wczoraj cierpliwie nosiła.

„A! jakże się cieszę!” — zawołał pan Wiślański, który szczęście tylko wiernych sług

swoich mając w tej chwili na myśli, zapomniał o smutku, jakiego doznał, dowiedziawszy się, że ma się z nimi rozłączyć.

„No i cóż teraz myślicie uczynić?”

„O to najmniejszy kłopot, kiedy są pieniądze,” odrzekł Jan, kłaniając się z uśmiechem.

„Nie mów tak, mój Janie — rzekł pan Wiślański poważnie, — trudno jest zebrać majątek, lecz łatwo go stracić, zwłaszcza gdy się do niego nie długoletnią pracą i rzadną oszczędnością, lecz szczęśliwym trafem przyjdzie. Niejeden, co na pocziwy chleb powszedni umiał zapracować, nie potrafił utrzymać niespodzianie nabytego majątku, dlatego, że go uważał za trwały i niezmienny, lub nie zastanawiając się, jaki z niego stosowny wypada zrobić użytek, dogadzając próżności, którą niedobrzy ludzie na swoją korzyść, a jego stratę umieli podniecać. Wtenczas wyrzuty sumienia za zmarnowanie darów szczodrej ręki Boga zatruwają na zawsze ten spokój duszy, jaką obdarza mierność, uczciwą zdobyta pracą. Majątek wtenczas jest tylko zapewnieniem szczęścia, jeżeli go mądrze, oszczędnie i dla dobra drugich użyć potrafimy, lecz zmarnowany lub użyty na dogodzenie namiętnościom naszym, wielkiem dla naszego zbawienia staje się nieszczęściem.”

„He! proszę pana — odrzekła Janowa — panom się zdaje, że biedny człowiek nie

potrafi już być panem: łatwiej to, bez urazy pańskiej, rozkazywać niżeli służyć.“

„Żle, moja Janowa, że jesteście tak zarozumiali — przerwał pan Wiślański podnosząc się z krzesła. — Człowiek oświecony, nie potrzebuje rad drugich, bo umie się rządzić swoim własnem zdaniem, lecz człowiek bez nauki, zarozumiały, jeżeli nie chce słuchać rad rozsądnych i bierze się do tego, czego nie rozumie, stanie się tylko celem pośmiewiska i ofiarą własnej głupoty. Nie namawiam ja was, żebyście dłużej w służbie pozostali, lecz chciałbym dla waszego dobra, abyście taki z majątku waszego zrobili użytek, któryby wam na zawsze zapewnił dobry byt i spokojność, a zarazem dał wam sposobność do takiego zajęcia, jakie dla was jest stósownem. Oboje jesteście jeszcze w sile wieku, a próżniactwo mogłoby was tylko do złego doprowadzić i świat wam nudnym uczynić.“

„My też, proszę pana, próżnować nie myślemy — odezwał się Jan poważnie — aleć i człowiekowi teraz lada praca nie przystoi.“

„Cóżście więc obmyślili?“

„Kupimy wieś, to jakoś najpiękniej.“

„Alboż wy się na tem znacie? zawołał pan Wiślański? To właśnie, coście obmyśleć mogli najgorszego; zedrą was, oszukają i puszcza z kijem i pustym workiem.“

„Ho! ho! ho! nie taka ja głupia, jak pan sądzi — przerwała Janowa — potrafię ja dopilnować mojej gospodyni; mój znajdzie takich, co mu w gospodarstwie dopomoga, wreszcie byle się kraść nie dać, każdy chłop orać i siałć umie, a przytem będziemy mieli ekonoma.“

Moi kochani przyjaciele — rzekł pan Wiślański z dobrocią, patrząc z politowaniem na Jana i jego żonę — widzę, iż nie macie pojęcia o tem, do czego brać się chcecie, ale przekonać się nie pozwolicie. Winienem jednak dać wam radę, która według mnie zbawieną dla waszy się stała. Oto poprosicie pana Zawadzkiego, zacnego budowniczego, aby wam obrał dom jaki porządny, którybyście korzystnie za 70 lub 80 tysięcy nabyć mogli. Janowa, która tak dobrze zna się na kuchni i gospodarstwie wiejskiem, niech za resztę kapitału założy porządną restauracyę, a smaczmem jedzeniem wielu przywabi gości, tem bardziej, że mając dostateczną gotówkę, może wszystko kupować w większej ilości i we właściwej porze, taniej więc kosztować ją będą potrzebne artykuły. Jan zajmie się dozorem służby w restauracyi, żona, porządkiem domu i utrzymaniem meldunków, będzie miał dostateczne zatrudnienie, a połączony dochód z restauracyi i domu, nietylko wystarczy na

wygodne utrzymanie i miłszą po pracy zabawę, lecz nadto może powiększyć kapitał, a wasz syn, którego natychmiast powinniście oddać do szkół i przyzwyczajać do pracy, nauczy się szanować majątku, nie tylko trafem zyskanego, lecz zwiększonego skrzętną rządnością rodziców.“

„Szanujemy rady pańskie — odpowiedziała Janowa — ale panowie zawsze na nas jak na sługi patrzą i zawsze chcą nas sługami zostawić, boć gdybyśmy tak jak pan radzi, zrobili, to zawsze jabym niczem więcej nie była, jak kucharką, a Jan lokajem w własnej restauracyi.“

„Przykro mi, że tak własnego nie pojmujecie dobra — odrzekł pan Wiślański z goryczą — nie będę dłużej wam już radził, bo byście w końcu własny mój interes widzieć w tem gotowi; róbcież tedy, jak chcecie, smutno mi bardzo z wami się rozstawać, lecz jeśli tylko dobrze wam pójdzie, to z duszy szczęściem waszem cieszyć się będę. Przyjmijcie moje błogosławieństwo w nowym zawodzie, i w każdej potrzebie przychodźcie do mnie, jak do ojca.“

Łzy stanęły w oczach Jana, rozplakała się Janowa, żegnając się z tak dobrym panem, a nazajutrz po tej rozmowie, następczywszy nowych w miejsce swoje służących, opuścili z łoleścią dom państwa Wiślań-

skich, w którym przez długie lata doznawali dobrodziejstw.

II.

Na dwa tygodnie przed świętym Janem, a niezdługo po opisanym przez nas wypadku, niezwykle ruch żydków panował w Krakowskim hotelu. Drzwi ósmego numeru nie zamykały się prawie. Pod numerem tym mieszkał od dni kilku znany nam dobrze Jan z żoną i synem. Od tygodnia bowiem, to jest od chwili, kiedy za pomocą faktorów, kupił prześliczną wieś, jak oni utrzymywali, sprowadził się do hotelu, bo nadworny faktor Lejbuś przekonywał, „że takiemu pann obywatelu, co ma swoich wsiów, nie wypada mieszkać na starego miasta“ i ten sam faktor na czele wielu innych zajmował się przygotowaniami do wyprowadzenia na wieś „Jaśniego pana Jana.“

W tej chwili stał on przed dobrodusznym Janem i jego żoną, tak rozprawiając: „Brylantowy, Jasny Pan, zrobił interes, całe obywatelstwo się dziwuje, Jasny Pan ma rozum, ale i Lejbuś dobry faktor. Jasny Pan jak darmo psied do takiego wieś, ten wieś wart 200 tysięcy, a Jasny Pan zgodził za 120, za mojem faktorstwem, a dał tylko 60 tysięcy, a 40 tysięcy na wypłat, i to przez trzy roki, a te 20 tysią-

ców na Towarzystwo kredytowe, ny! to tak, jakby oni nie buli.“

„No dobrze, mój Lejbusiu, ale to czas już pomyśleć o wyjeździe — rzekł Jan, klepiąc po ramieniu Lejbę, przyjmującego z udaną pokorą i niskim ukłonem karesy pana Jana — i trzeba, żebyś mi jeszcze postarał się o porządną bryczkę i jakie niezłe, a tanie koniki.“

„O bryczkę — zawołał Lejbns, z wielkimi niby to zgorszeniem — Jasny Pan kpić chce ze mnie?“ A patrząc na Janową wystrojoną w czepek z karmazynowemi wstążkami i przeglądającą się ciągle w lustrze, dodał z chytrym tonem: „a co by to cała okolica powiedziała, żeby Jasna Pani brycką psijechała? Już ja wiem dobrze, że dla Jaśniech panów koca potrzeba.“

„Ja z matulką koczem pojedę!“ zawołał syn Jana, czternastoletni mazgaj z głupkowatą miną, bo dotąd ledwie umiał sylabizować i krzywe łaski stawiać.

„A feiner puryc — przerwał Lejbuś, chwyląc chytrze dziecko — śliczny panic, a jaki mądry! snąć, że to duży pan będzie.“ A sięgnąwszy do kieszeni, podał Franusiowi garstkę orzechów i jabłko, które chłopiec porwawszy, łakomie zaczął zajadać.

„No jużci, mój mężu, koczem trzeba pojechać — poparła Janowa, gryząc orzechy

dla syna — żadna pani przecie bryczkami się nie tłucze.“

„Recht, recht!“ potwierdził, kręcąc głową faktor, starający się na wszystkim jak najwięcej zyskać i oszukać dobrodusznego Jana.

„Zaraz będzie koc i konie w Krakowskich chomonty!“ i Lejbuś wybiegł z hotelu.

W parę godzin potem w podwórze Krakowskiego hotelu wjechał kocz żółty, zaprzężony w cztery siwe konie, popędzane przez żyda, a z kocza wysiadł Lejbuś i szybko do ósmego udał się numeru.

„Już jest wsistko“ rzekł wchodząc „to warto widzieć takiego ekwipaż, ludzie stawali po drodze, jak ja tu jechał, niech Jasne państwo obacy.“ — I zaraz cała familia wyszła na podwórze za faktorem, który z daleka krzyczał na żydowskiego woźnicę. „Fuer Mojsie, fuer!“ a zręczny handlarz koni, siedząc na koźle, zaczął natychmiast wywijać naokoło podwórza, starym klekoczącym, lecz nowo polakierowanym i wybitym nicowanem suknem pojazdem, który stare z pozrywanymi nogami i ochwacone, lecz dobrze przez handlarza wytresowane konie, mało nie porozbijały po nierównym bruku. Jan nie znał się na wadach końskich, a stary klekot, brał za pojazd świeżo zbudowany w jednej z najlepszych fabryk pojazdów w Warszawie. Zanim przyszło ugodzić się

o cenę koni, pojazdu i uprzęży, inne żydki za znakiem Lejbusia przyprowadzili jeszcze wierzchowca pod siodłem dla Jana, i małego kuca dla Franusia. Bęben dostawszy się na kucyka w żaden sposób zleźć z niego nie chciał. Pani Janowa kontenta, że będzie jeździć pojazdem, a bojąc się, aby nie przyszło do zerwania targu, nie dała się wiele targować mężowi, a ten też i nie wiedząc, jak co taksować, zapłacił 3 tysiące rubli za to, co i 3 nie było może warte.

Nazajutrz po kupnie ekwipażu, Jan opłaciwszy hotel, faktorów i nakupowawszy mnóstwo drogich, a niepotrzebnych rzeczy, wyjechał na wieś z żoną i synem, którego bał się zostawić w szkołach na stancyi, aby się nie zrobiło co złego przyszłej nadziei rodziny, wywożąc z sobą z pozostałych 40 tysięcy od kupna wsi ledwie 24 tysiące.

Wieś Jana położona była w najnieurodzajniejszej ziemi Kr. Polskiego. Przyjechawszy tam Jan, nieznający się na rolnictwie, nie wiedział jak się wziąć do czego. Zebrawszy bardzo mało po dawnym właścicielu z pola, i niemogąc nic zboża sprzedać, które za ledwie na przyszłoroczny siew mogło wystarczyć, musiał żyć z gotówki, wydawszy jeszcze parę tysięcy na żniwo. Przyszło opłacić Towarzystwo kredytowe, podatki i ratę z niedopłaconych dawnemu

właścicielowi czterdziestu tysięcy, a to wszystko z tych pozostałych dwudziestu czterech, które nieporządkiem i bezładem pod koniec roku zupełnie się rozeszły.

Na drugi rok konie cugowe i fernalskie, pokupowane przez Lejbusia, pozdychały; trzeba było kupić nowe dla obrobienia pola, a że nie było gotówki, Jan pożyczył od żydów, tem bardziej, że nie miał czem ani podatków, ani raty opłacić, a nawet żyć z czego. Żydzi zdzierali z niego ogromne procenta, a gdy na trzeci rok nie miał ich czem zaspokoić, wystawili wraz z dawnym właścicielem, który nie odebrał swojej należitości, wieś Jana na sprzedaż. Za wieś opuszczoną w nieurodzajnej ziemi dano za ledwie 80 tysięcy; po otrąceniu długu Towarzystwa Kredytowego, zostało się jeszcze kilkadziesiąt tysięcy; dawny właściciel zabrał z nich należne mu jeszcze 24 tysiące; a żydzi, którzy Janowi pożyczali pieniądze, nietylko resztę kapitału, ale nawet i kocz, i kucyka Franusia, owego panicza, który marnie stracił lat parę, niczego się nie nauczywszy.

A tak Jan gorzkiemi zalewając się łzami, wrócił na najętej furce do Warszawy, wraz z żoną, któraby teraz chętnie była założyła restauracyę, z synem głupszym i więcej zepsutym niż dawniej.

III.

Jedenasta godzina z rana biła na zegarze w mieszkaniu pana Wiślańskiego, gdy głos dzwonka rozległ się po pokoju. Służący poszedł drzwi otworzyć i wpuścił Jana, który wraz z żoną przyszedł prosić dawnego swego pana o służbę. Zmartwił się pan Wiślański, usłyszawszy o smutnym losie starych dobrych sług swoich, a wysłuchawszy cierpliwie ich skargi, rzekł: nie będę wam czynił wymówek, żeście za radą moją nie poszli, i tak dość srogą ponieśliście karę. Dziś pewny jestem, żebyście mnie usłuchali i nie uważali za ubliżenie być właścicielami restauracyi, lecz niestety, teraz już zapóźno. Wyście nabrali doświadczenia, ale fortuna nie wróci. Dziś nie odpowiedziałbyś mi już Janie, gdybym się zapytał, co myślisz z sobą porabiać? „O to najmniejszy kłopot, kiedy są pieniądze.“ Miałeś je, a przecież nic oprócz kłopotów nie użyłeś, nic nie zyskałeś, oprócz siwych włosów na głowie ze zmartwienia, a właśnie dlatego, żeś chciał użyć pieniędzy za środek do nasycenia swojej nierozsądnej dumy. I Janowa dziśby nie powiedziała, że panowie myślą, iż słudzy nie potrafią być panami, kiedy łatwiej jest rozkazywać, aniżeli służyć. Żal mi najbardziej waszego

syna, który rozpieściwszy się tylko i przywykły do wygod, może wyjść na nic dobrego, i złorzeczyć kiedyś rodzicom.

Lecz dosyć już tych nauk, nie chcę wam serca zakrwawiać, wolę, abyście służąc u mnie, zawsze wam życzliwego, zapomnieli o smutku, który bodajby tak znikł prędko, jak znikło niestety! szczęście, które wam zaświeciło.



Jak sobie kto pościele, tak się też i wyspi.

Nigdzie podobno niema większych narzekań na służących, jak u nas, i po większej części takich, jak oni biedaków; rzeczywiście bowiem, jakież ich los na starość, zwłaszcza też po miastach? Za młodu póki służą siły i zdrowie, zarobiony pieniądź wychodzi na bieżące potrzeby, na starość zaś trzeba wyciągać rękę po jałmużnę, lub chronić się do szpitalów, stając się w obudwu razach ciężarem społeczeństwa. Że się tak dzieje, widzimy codziennie; sam pomiędzy innemi znałem przed kilku laty staruszkę, który był w swoim czasie zawołanym kucharzem; że jednak, jak sam wyznał, nie umiał zagrzać miejsca, więc jakkolwiek nie był utracyszem, nie zdołał nie sobie zebrać na stare lata, — i był zmuszony, czy pogoda, czy słota chodzić od domu do domu, to po łyżkę strawy, to po

kilka groszy na tabakę, to wreszcie po jaki szmat na okrywęk.

Owóż, moi przyjaciele! ta chęć ciągłej zmiany służby, główną złego jest przyczyną, — bo ani służący pana, ani pan służącego zamiłować nie może, za czem skutek, że służący taki będąc obojętnym dla pana, nie doznaje szczególnych jego względów, które jedynie długoletnią, wierną i uczciwą służbą się nabywają, — że przy ciągłej zmianie służby nic sobie nie uciula, boć jak mówi przysłowie: „kamień tylko na miejscu porasta“ — a przysłowia będąc głosem doświadczenia, mieszczą w sobie istotną prawdę, za którą jednak rzadko idziemy, a wszakże głos ludu, którego przysłowie jest objawem, jest głosem Boga.

Jakie więc są korzyści pilnowania jednej służby, a jak smutne skutki ciągłych jej zmian, następny prawdziwy przykład wam okaże, opowiedziany mi przez starego Grzegorza, jednego z uczestników wypadku.

„Urodziłem się we wsi Wielgie, będącej oddawna w posiadaniu jednej i tej samej rodziny, w której także od czasów niepamiętnych zamieszkała była i rodzina mojego ojca, i dlatego chowała niewygasłe uczucia przywiązania dla całej rodziny państwa. Ojciec mój był kowalem, podówczas zaś nastał był do wsi karczmarz, który miał

syna jednego ze mną wieku. Otóż obadwa z Antkiem dzieciństwo nasze trawiliśmy na wałęsaniu się; zwykłym zajęciem naszym, zwłaszcza w lecie, była z początku zabawa w piasku, lub przewalanie się na słońcu z boku na bok przez cały Boży dzień, — później szczwanie dziadów lub żydów, gdy się który z nich we wsi pojawił, — wykreścanie gniazd ptasich, łażenie po płotach, drzewach i dachach, wreszcie zakradanie się do pańskiego ogrodu, by narwać niedojrzałych owoców, od których nieraz ciężko przychorowałem.

„Później, gdy byliśmy starsi, obadwa z Antkiem pasaliśmy cielęta lub źrebaki, i tam się najwięcej przyjaźń nasza kojarzyła; wychowanie więc moje było prawie żadnem. Matka nauczyła mnie pacierza i miłowania Pana Boga, i uczucia te były mi w przyszłości ochroną od pokus, którym uległ mój towarzysz, a które stały się zguby jego przyczyną.

„Rodzice moi i rodzice Antka również przyjaźnili się z sobą, i nieraz naradzali się o naszej przyszłości. „Trzeba ich przecież wykierować na ludzi“, mówili sobie, ale kończyło się na słowach, a myśmy rośli tymczasem, jak dzikie drzewa w lesie; we wsi bowiem szkółki nie było, a w czasie kazania w kościele tośmy woleli drzemać,

lub myśleć o psotach, figlach, aniżeli słuchać pożytecznych rzeczy, któreby nas czego nauczyć mogły.

„Tak doszliśmy lat 15-tu; jakkolwiek byliśmy tylko wyrostkami, różnica w usposobieniach mojem i Antka okazywała się widoczną: ja byłem jakoś powolniejszy i stateczniejszy, Antek zaś żywszy i niecierpliwy. Nieraz pomnę, gdyśmy poszli do jakiej roboty, bo Antek brał się do niej z całą duszą, ale nie umiał w tem wytrwać, prędko go jednostajność nużyła, opadały mu ręce, robota szła oporem, ale przy jej zmianie zapał jego powracał. — Rodzice jakkolwiek go kochali, nie umieli skłonnościami jego pokierować, coby zrazu było łatwo przyszło, gdyż był to najlepszy zresztą chłopak: uczynny, przyjacielski i dobry towarzysz, tylko jednego statku nie miał i to go zgubiło.

„W tym jakoś czasie państwo potrzebowali chłopców do służby i obudwu nas rodzice oddali do dworu; bo im zdało się przyzwoitszą rzeczą, ażeby synowie ich byli dworskimi, aniżeli ażeby mieli pozostać rolnikami; chociaż prawdę mówiąc, daleko szanowniejsze i szczęśliwsze powołanie rolnika lub rzemieślnika, który na swoim pracuje, niż dworskiego, co mało zwykle pracując, na cudzym chlebie zje zęby — chociaż tak w tym, jak i tym stanie, przy poczciwości szczęśliwym

i szanowanym być można, jakem sam tego na sobie doświadczył.

„We dworze Antek, który się jakoś panu lepiej z miny podobał, przeznaczony został paniczowi i nauczycielowi jego do usługi, mną zaś, który nie miałem wydzielonego żadnego stałego obowiązku, kto żył w domu, to się posługiwał. — Antek, będąc przy paniczu, miał sposobność nauczania się wielu rzeczy, i gdyby był chciał, mógłby się był potem pokierować — nauczyciel bowiem panicza nakazywał mu siedzieć w pokoju przy lekcyi — ale się to jakoś Antkowi nie podobało, nie mógł usiedzieć w pokoju, przykrzyły mu się grymasy panicza i nieraz wyrzekał gorzko przede mną na dziwactwa starego nauczyciela. A gdym go za to strofował, i nakłaniał do znoszenia tych małych nieprzyjemności, oburzał się na mnie, mówiąc: „łatwo tobie perswadować, co tego nie doświadczasz, coś swobodny i szczęśliwy; jak ptak biegasz po świecie przez dnie całe, kiedy ja jakby za karę siedzieć muszę w pokoju i słuchać zrządzenia lub mądrych rzeczy, których nie rozumiem i z których pożytku mieć nie będę. O! gdyby państwo przystali, zarazbym zrobił z tobą zamianę, jak pokosztujesz tych słodczy, które tak wychwalasz, to wkrótce inaczej będziesz śpiewał.“

„Życzeniu jego wkrótce zadosyć się stało, bo gdy Antek coraz bardziej przykrząc sobie swoje obowiązki, oświadczył nauczycielowi chęć zamiany ze mną swego zatrudnienia, nauczyciel, któremu niestałość jego przykrzyć się zaczynała, przystał chętnie na to, i ja objąłem zaraz nazajutrz, za zezwoleniem pana, nowe obowiązki.

„Nauczony z maleńka od matki szanować i miłować swych państwa, wymaganiom panicza chętnie czynilem zadosyć, i przekonałem się, że dobrą wolą i cierpliwością wszystko z nim zrobić było można, i nie było potem lepszego od niego pana, coby tak pamiętał i wynagrodzał swego sługę jak on, za co niech mu Bóg da niebo, bez rozrzewnienia wspomnieć go nie mogę, — mówił stary Grzegórz, ocierając rękami łzy ciekące po zmarszczonych jego jagodach, — jemu wszystko winienem.“

Gdy Grzegórz ochłonał nieco z żalu, tak rzecz swoją dalej prowadził:

„Umieszczenie moje przy paniczu nappełniło mię radością, szczególny jakiś pociąg miałem do nauki; to też w czasie lekcyi siedziałem w pokoju jak trusia, czem sobie zjednałem nauczyciela. Słuchając tych pięknych rzeczy, które on paniczowi wykladał, zrodziła się we mnie niezwalczona chęć nauczyć się przynajmniej czytać i pisać.

Prośbę moję objawiłem z nieśmiałością i obawą nauczycielowi, ale nad moje spodziewanie dobrze ją przyjął, poklepał mię po ramieniu, powiedziawszy: dobrze, dobrze, będzie z ciebie człowiek. Odtąd zajął się on gorliwie moją nauką, tak, że w przeciągu pół roku, nauczyłem się nieźle czytać, pisać i rachować. Przez ten czas Antek zmienił po kilkakroć swoje obowiązki; uprzykrzyło mu się wnet bieganie, którego pierwiej zazdrościł, a przesiadując częściej w kuchni, aniżeli w kredensie, zapragnął sposobić się na kucharza, poczytując zatrudnienie to za przyjemniejsze. Gdy więc kuchcik zachorował, podjął się go zastąpić; nie zabawił jednak w kuchni dłużej nad trzy miesiące, i znowu mu się zajęcie to przykrzyć zaczęło.

„W tym czasie przyjechali byli do państwa jacyś krewni z Warszawy, jak się z ich służącymi rozgadywać zaczął, zdało mu się, że niema szczęścia jak w mieście, że tam dopiero na człowieka wyjść można, tam dobra płaca, a mała praca. Podziękowawszy więc za służbę, zabrał się z odjeżdżającymi do Warszawy; ja zaś pomimo namów jego zostałem na miejscu, bom się i coraz więcej przywiązywał do panicza i do starego nauczyciela; wreszcie, żał mi było porzucać moje spokojne zajęcia, przy których zostawało mi dosyć czasu na czytanie i naukę,

a przez nie poznawałem coraz więcej prawdy religijne i moralne i nabierałem przekonania, że każdy stan ma swoje przykrości i że ten tylko zdoła być szczęśliwym, kto się zasto-
sować potrafi do tego, co mu Bóg dał; że najlepiej ten wychodzi, kto nie goni za lepszym, ale swojego się trzyma.

„W lat kilka panicz, mający już wówczas lat 15, posłany został do szkół w stolicy, pojechał z nim nauczyciel i ja, z tytułem już lokaja młodego pana. — W Warszawie spotkałem się z Antkiem, wówczas już panem Antonim, jak go inni zwali lokaje, z którymi mię był zapoznał; wszyscy oni odradzali mi dzisiejszą moją służbę. „Przystań do wielkiego pana, mówił jeden, nie będziesz nic robił, a weźmiesz dobre pieniądze.“ — „Zostań woźnym, rzekł drugi, umiesz czytać i pisać, dostaniesz kilkadziesiąt złotych na miesiąc, i będziesz urzędnikiem.“ — „Założ handelek lub garkuchnię, radził trzeci, twój ojciec ma się pono nieźle, to ci przyśle pieniędzy.“ — Nauczyciel wszakże przewidując pokusy, jakie mię spotykać będą w Warszawie, rzekł do mnie na odjeździe. — „Trzymaj się, Grzegorzu, panicza, służ mu wiernie i życzliwie, a zobaczysz, że do śmierci uczciwy kawałek chleba mieć będziesz.“ — Utkwiły te słowa mi w pamięci, i wierzyłem mi święcie, chociaż się z tej mojej wiary

drudzy wyśmiewali, a najwięcej Antoni. Wszakże ani ich śmiechy, ani przekąsy osłabić jej nie zdołały, i chociaż trafiała mi się po parę razy bardzo korzystna służba, w której mi dwa razy większe od pobieranych ofiarowano zasługi, jednak jej nie przyjąłem i nie pożałowałem tego.

„Antoni przez tych lat parę w szóstej był już służbie, i bardzo mi ten sposób życia zachwalał, chociaż nie można było powiedzieć, żeby powierzchowność jego za nim przemawiała. — Tak często zmieniając miejsca, trafiało mu się być nieraz przez miesiąc i dłużej bez służby; tracił zwykle przez ten czas to, co na poprzedniej uzbierał służbie, i dlatego też na nim porządniej nie było sukni, gdyż nie było jej za co sprawić, lub sprawioną wypadło u żyda na życie zastawić. Ja chociaż i połowy tego nie brałem co on, miałem i porządniejszą odzież, i sto złotych uzbieranych w kieszeni.

„W ten sposób rzeczy szły dalej, ja ciągle byłem przy paniczu, starszy pan powiększył mi w tym czasie zasługi i wysłał wraz z synem i nauczycielem za granicę. — Przewidziałem świata niemało, ucierpiałem także niemało w téj drodze, bo gdyśmy już wracając do kraju, przybyli do Drezna, zaśląbł nauczyciel. Chorował ciężko i długo i ździwaczał do reszty. Ja byłem wciąż przy nim,

pilnując dniem i nocą, pielegnowałem go jakby własnego ojca, przez pamięć na udzielane mi przezeń nauki. Po trzech wreszcie miesiącach zacny ten człowiek oddał Bogu ducha, legując w testamencie 45 rubli sr. za moję około niego w chorobie troskliwość, tak, jakbym ja mu dłużnym nie był, że mię uczynił człowiekiem.

„W parę lat po powrocie do kraju, pan mój, któremu rodzic wydzielił właśnie majątek, widząc, że na wsi źle jakoś samemu, pomyślał o żonie, — i mnie też, com był od mego pana o kilka lat starszy, podobna myśl przyszła; zachciało mi się własny mieć kącik i ozdobić go pocziwą kobietą. Miałem już własnych uzbieranych pieniędzy 75 rubli sr., oprócz 45 rub. sr. z zapisu od nauczyciela, mogłem więc pomyśleć i o żonie, i o założeniu jakiego gospodarstwa.

W naszej wiosce nie brakowało hożych dziewcząt, we dworze było ich kilka wcale ładnych, ale nie miałem do nich jakoś serca, — bo to między dworskimi rzadko znaleźć dobrą żonę. — Póki męża nie dostaną, pstrzą się i stroją, — już i dla przywabienia, i że to niby takie porządne i staranne, a jak się dostaną na swoje, to założą ręce i chcą, ażeby mąż na nie i na dzieci zarabiał; za to znów w karczmie pierwsze rej wiodą. Z pomiędzy wszystkich tych dziewcząt wpadła

mi była w oko Jagusia, córka kołodzieja, którem widział, jak się nabożnie modliła w kościele, i potem, kiedym się z jej ojcem poznajomiwszy, odwiedzał go w jego mieszkaniu, tam się przekonałem o jej pracowitości i statku. — Z nią więc postanowiłem się ożenić i wyjawilem panu moje zamiary. Ucieszył się niemi, ale i zafrasował, myśląc, że go moje ożenienie od niego oddali, — chodził więc po pokoju, wreszcie rzekł do mnie: — „Słuchaj Grzegorzu, pochwałam myśl twoją wejścia w związek małżeński, boć i sam o nim myślę, ale nie mogę zgodzić się na to, byś miał mnie opuścić. Jestem młody, w nowym zawodzie gospodarza, potrzebuję koniecznie doświadczonego w wierności sługi, — i w tem na ciebie rachuję. — W wiosce, którą mi ojciec udzielił, w miejscu, które sam sobie obierzesz, postawisz i domek i gospodarskie zabudowania, dam kawał gruntu na ogród, łąkę wyznaczę — osadź tam żonę, bywaj tam u niej, ale mnie nie opuszczaj.“ — Nie mogłem się oprzeć takim naleganiom mojego pana, chociaż w duszy radbym był osiąść zupełnie ze swoją Jagusią. — Zostałem więc na miejscu, — pomagałem panu w urządzeniu nowego domu, do którego wkrótce młodą żonę wprowadził; załatwiłem rozmaite państwa polecenia i sprawunki, pań-

skiego dobra pilnowałem, jak oka w głowie, czem pozyskałem sobie wkrótce obojga państwa zaufanie bez granic, dlatego właśnie, żem go nigdy nie nadużył. Zaczem poszło, że mi poruczyli nadzór całego domu i wszystkich służących i zwiększyli pobierane zasługi. — Obok niejednego pięknego podarunku, którego przywiązanemu słudze nie żalowali, otoczyli szacunkiem, który dzielali nietylko domownicy, lecz nawet i goście, co do państwa przyjeżdżali.

W dziesięć lat może po wspólnem naszym ożenieniu, wysłał mię był pan z panią do Warszawy. — Otóż ubrany ciepło w sutę lisiurze, bo to było jakoś po Nowym Roku, i mrozy dojmowały. Dumałem sobie o domu, o mojej Jagusi, która mi właśnie szóstego powiła chłopaka; wtem płacząc w rogatkach kopytkowe, widzę jakiegoś żebraka w łachmanach, zsiniałego od zimna, który przypatrywał mi się z pod chmury, jakby w oczy spojrzeć nie śmiał. — Dobylem więc z kieszeni dziesiątkę i odezwałem się do biedaka: „naści bracie, rozgrzej się ciepłym piwem.“ — „Bracie! mruknął tamten, dawno minęły te czasy, kiedyśmy braćmi byli.“ Na te słowa wpatrzyłem się w żebraka, i poznałem w nim mego dawnego towarzysza. „Antoni!“ zawołałem. — „Tak, ja to nim jestem, dziwna

rzecz, żeś mnie poznał — rzekł z cicha Antoni — bo inni moi znajomi i przyjaciele poznawać mię nie chcą, odkąd mię widzą w łachmanach.“ — Zakreśliły mi się łzy w oczach i dając mu kilka złotych, — „masz to — rzekłem — tymczasem, a jutro przyjdź do mnie do zajazdu na Zimnej ulicy, a tam rozmówimy się lepiej.“

„Przyszedł nazajutrz Antoni i opowiadał mi z goryczą, jak nigdy nie szanując najlepszej chociażby służby, nie zagrzaawszy nigdzie miejsca, szukał ciągłej zmiany, że przed kilka miesiącami będąc całkiem bez obowiązku, zachorował mocno i co tylko miał z rzeczy i pieniędzy, to wszystko poszło na chorobę. — Przyszedł nieco do sił przed zimą, ale obdartego i znędnionego nikt przyjąć nie chciał, tem więcej, że świadectwa z krótkiej wszędzie służby do przyjęcia go nie zachęcały. Zapadł więc powtórnie ze zgryzoty, a teraz chociaż ledwie łązić może, wychodzi przecie z poddasza swego wyżebrać choć kika groszy na kawałek chleba i szklankę piwa... Ścisnęło mi się serce na jego opowiadanie o doświadczonej niedoli, nieśmiałem przyczyniać mu zmartwienia uwagami, lub obrazem mego szczęścia, któryby może był mu wyrzutem; dlatego zapytałem go tylko, w czembym mu mógł dopomóc. „Niewiele mi się na-

leży już na tym świecie — odrzekł Antoni — czuję się coraz słabszym, jeżeli więc możesz wykupić mnie do szpitalu, to uczyn to dla miłości Boga, gdyż ja na nią nie zasługuję. Nie mam już nikogo na świecie, żona, szynkarka, rozpiła się i umarła; dzieci dwoje wzięli sąsiedzi z litości, ale zmarniały u nich.“

„Zapłakałem gorzko nad losem dawnego towarzysza, postarałem się o wykupne, jak tego żądał Antoni, i niemało na to wydałem pieniędzy, ale ich nie żałowałem — pocieszając się tą myślą, że mu ciepłe i wygodne schronienie zabezpieczyłem. — Tu znowu Grzegorz otarł łzę poświęconą pamięci przyjaźni — poczem tak rzecz prowadził:

„We dwa lata, gdy mi znowu za interesem pańskim wypadło być w Warszawie, poszedłem wieczorem do szpitala Dzieciątka Jezus dowiedzieć się, co się dzieje z Antonim; trafiłem właśnie na tę chwilę, kiedy miejscowe dziady składali w jedną wielką skrzynię, przy świetle latarki, trupy zmarłych od dni kilku; w ostatnim pomimo zmienionych rysów i śmiertelnej bladeści, poznałem Antoniego; na ten widok zimny dreszcz mnie przeszedł, ukląknęłem i zmówiłem pacierz za jego duszę. — Długo potem uspokoić się nie mogłem i nieraz widziałem we śnie jego obnażone ciało — dałem na Mszę do naszego kościoła i na wypominki,

i ilekroć ksiądz wygłasza z ambony zaduszki nie zapomni i Antoniego; — niech tam Pan Bóg świeci nad duszą jego.“ — Na tem skończył staruszek swoje opowiadanie.

Wiele już lat minęło od owego czasu, a stary Grzegorz żyje dotąd, czerstwem ciesząc się zdrowiem. Od kilkunastu już lat uwolniony ze służby, jako gracyalista, pobiera ciągle dawniejsze zasługi — odwiedza go pan często w jego własnym, porządnym domu i radzi go się w trudnych wypadkach. Już wszystkie dzieci swoje wyposażył, synów umieścił, córki za mąż powydawał. — Gdy przyjdzie kiedy do dworu, cała rodzina pana wita go z szacunkiem i radością. Wnuczki pańskie pną mu się na kolana, wiedząc jak stary lubi się z nimi bawić; zgoła obchodzą się z nim, jak gdyby do rodziny należał — a na cmentarzu pod ścianą kościoła, niedaleko familijnego grobu państwa, już ma przeznaczony piękny wzgórek, w którym kości swe złoży, kiedy przyjdzie na niego wielka i nieochybna śmierci godzina. — Jakaż i wtem różnica losu jego od losu Antoniego!

Oto i koniec tej prawdziwej powieści. — Oby ona przynieść mogła naukę i przestrożę dla służących, idących śladami Antoniego. — Powtarzając ją ojcowie i matki, wychodzącym na służbę córkom i synom,

niech pamiętają na przysłowie: kamień na miejscu porasta, a może ona przynieść wtedy dobroczynny skutek, jaki z zamięłowania jednej służby wynika, a o czem opowiedziane przez Grzegorza wypadki dostatecznie przekonaćby ich powinny.



Spis rzeczy.

	Strona
Tęsknota górala	
Zemsta ukarana	2
Niegościnnosć	3
Modlitwa wysłuchana'	4
Łatwo przyszło, łatwo poszło. (Prawdziwe zdarzenie)	5
Jak sobie kto pościele, tak się też i wyśpi.	6

